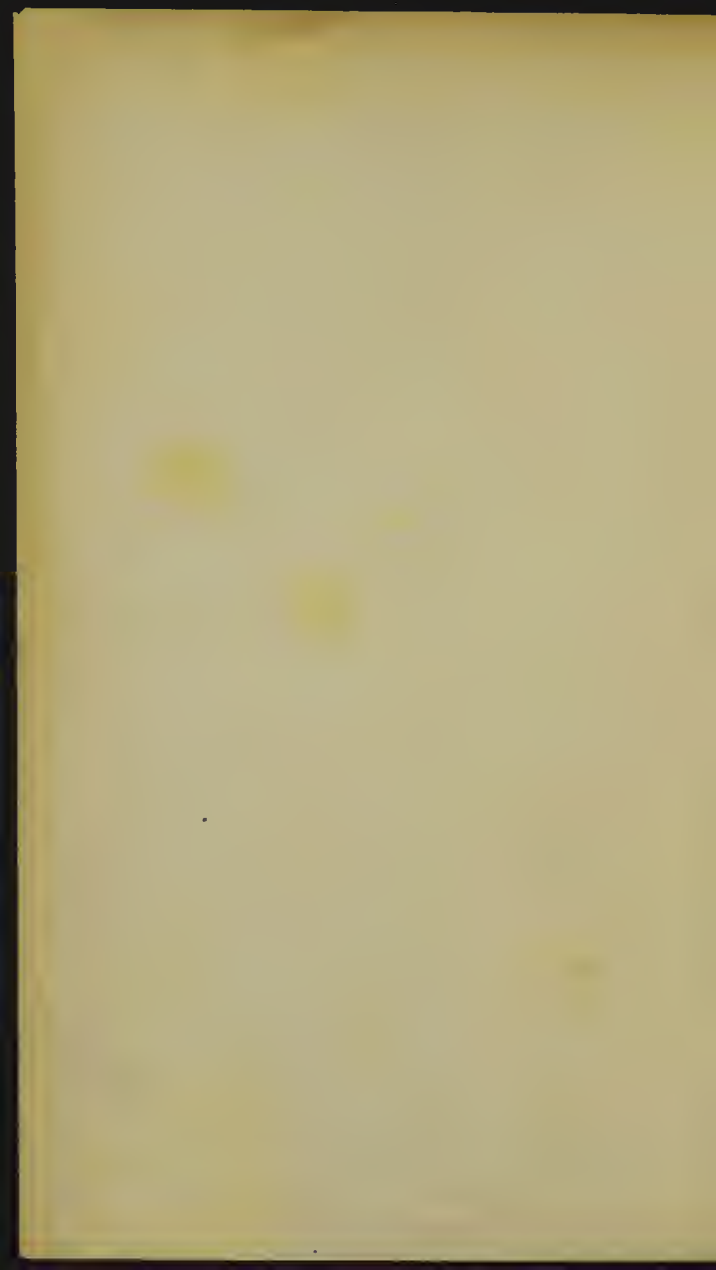


POGROBE K.



**J. I. KRASZEWSKI.**  
**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**  
**XI**

---

**POGROBEK.**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Przemysławowskich

**TOM II.**

---

**KRAKÓW.**

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie

Gebethner i Wolff.

Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1880.

1885

1885



---

Z drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

1885

## I.

Zarębów i Nałęczów ród już naówczas po całej Polsce był rozsiadły. Dosyć ich znajdowało się na dworach Śląskich, w Poznaniu, Krakowie, na Mazowszu, ale daleko więcej obojga tego zawołania ziemian po dworach swoich i gródkach siedziało.

Dziś, gdy człowiek każdy co najrychlej stara się być niezależnym i starczyć sam sobie, bo bezpieczeństwo od napaści dają mu prawa; — nie mamy już pojęcia, czem w tamtych wiekach był ród, rodzina, zawołanie jedno, znamie i krwi związek.

Zwali się ludzie imionami tylko, przydomkami jakie im dawano, nazwy od wsi brali, na których siedzieli dla rozróżnienia, ale związek krwi łączył najdalszych członków jednego plemienia w wielką całość, stanowiącą niby obóz obronny.

Widzieliśmy tak Odrowążów i Jaksów wojnę z sobą wiodących, a co krok na kartach kronik spotykamy zawołania ziemian gromadami służące książętom, albo przeciwko nim występujące.

Często możny ród mając przeciwko sobie, książę we własnym domu spokoju nie miał.

Ziemiańskie liczebnie silni a majątni, ciągnęli za sobą spowinowacone rody i grozili panującym.

Z najdalszych krańców ziem różnych, na dane hasło odzywali się swoi. Trzymano się za ręce w złym i dobrym losie, pilnowano wzajem, posilkowano, nie dano sponiewierać się ni upaść. Za jednego pokrzywdzonego mścili się wszyscy.

Książę Przemysław rozumiał to dobrze, iż Zarębę obraziwszy, cały jego ród i współplemienników przeciw sobie zburzy, do których przybywali Nałęcz, od nich silniejsi jeszcze, a liczniej rozrodzeni.

Michno Zaręba rodzinę mógł znaleźć w pobliżu o mil parę na dredze do Sremna, lecz u niej łatwo go było poszlakować i doścignąć.

Puścili się więc oba z Nałęczem większe pomijając gościńce, lasami, z początku nie dobrze wiedząc gdzie ich oczy niosły.

Szło o to, aby się co rychlej oddalić od Poznania. Oba baczni wielce, lękając się pogoni, nasłuchiwali dobrze, a gdy w lesie tentent koni posłyszeli, przypadli cichaczem w gęstwinie, dając

się czeladzi zamkowej wyprzedzić, co się im łatwo udało.

Nałęcz miał w okolicy Gniezna stryja starego, na wsi osiadłego, do którego czasem dojeżdżali dla łowów i spoczynku. Zwano go Włodkiem, a że niegdy w radzie książęcej zasiadał, Comesem go czczono.

Człowiek był dawniej krewki do zbytku, broił dużo, szalał długo, nawrócony teraz życiem niezmiernie surowem, starał się okupić dawne życie swoje. Schronić się doń zdawało bezpiecznem, gdyż tam mało kto kiedy zaglądał. Domu reguła ostra była, i dwaj młodzi nie chętnieby się poddali jej na czas dłuższy—lecz na krótko i ten przytułek był pożądany.

W Nałęczynie bez mała, klasztor Włodek założył.

Stary Comes, chociaż żonaty z dziewczicą znakomitego rodu, ojciec dwóch synów i po zgonie żony, a i za jej życia pono swawolnie sobie poczynał, tak, że pobocznego potomstwa kilkanaścioro się znalazło. Wszystko to teraz z nim pod jednym dachem mieszkało i za niego pokutę musiało odprawiać.

Wyprosił był sobie Włodek, ofiarą dla kościoła księdza niemca zakonu Św. Franciszka, który u niego kapelanem był i rygor mu tu klasztorny wprowadził.

O. Franc, którego tu poufale Ojczulem zwano,

obchodził się z Włodkiem i jego rodziną bardzo surowo. On tu był teraz panem.

Po krótkiej z Zarębą naradzie, Pawłek Nałęcz pociągnął go z sobą do stryja, chociaż długo tu przebywać nie myśleli — Zaręba gorączkowy i niecierpliwy zabierał się zaraz wszystek ród objeżdżać, i przeciw księciu Przemysławowi go zbroid, opierając się na którym z książąt Ślązkich.

Nie wiedział Michna spełna co począć, lecz poprzysiągł, że na księciu pomścić się musi.

Nałęcz umiarkowańszy i chłodniejszy powstrzymywał go i starał się uspokajać, co niewiele pomagało.

— Ani dziś, ani jutro może nie dokażę tego co chcę — zawołał Zaręba — lecz póki żyw mu nie daruję za księżnę i za siebie!

Zjechali z drogi kn Nałęczynowi, do którego Pawłek prowadził. Potrzeba było nocować w lesie, a choć jesień była późna i chłód dojmujący, ognia nawet naniecić nie śmieli, aby ten ich nie zdradził.

Odzieży cieplej nie mając, otulili się jak mogli, a nim konie u cudzego stoga popaśli, kilka godzin przesiedzieli drzemiąc w myślach zatopieni.

Nadedniem puścili się w dalszą drogę, i przeżykając się bezdrożami, dojechali do Nałęczyna.

Dwór starego pokutnika leżał jak na wysepce pomiędzy jeziorkami dwoma, które umyślnie przekopami połączone. Broniło go to od napaści i odgradzało od świata.



Włodek zerwał z nim był wszelkie prawie stosunki, duszą swą grzeszną zajmując się jedynie. —

Zdala po nad obszernie rozstawionemi domostwy i drzewami, teraz z liści opadłemi, widać było drewnianą sterczącą w górę wieżyczkę kościola z krzyżem sporym drewnianym także, wedle obyczaju zakonu Ś. Franciszka.

Przejechawszy długą hać rozgrzęzłą, którą zaniedbano poprawiać i woda ją w miejscach wielu poprzerywała, przebywszy kilka mostków lichych i podziurawionych. — stanęli u wrót, w które dobrze bić musieli, nim Nałęcz się odźwiernego dowolał.

Temu oznajmil się jako bratanek pana, domagając z towarzyszem gościny. — Stróż poszedł do pana, ale ten na modlitwie był, której mu przerywać nie śmiano. Musieli więc czekać długo.

Wpuszczono potem samego Pawłka, kazawszy Zarębie z końmi zostać za wroty...

Wszedłszy w podwórcę, znalazł się Nałęcz naprzeciw męża ogromnego wzrostu. u wrót już stojącego, który na sobie miał suknię barwy siermiężnej sznurem prostym podpasaną. Tem się tylko ona od mniszej różniła, że kaptura nie miała.

Był to Włodek, bosy, w trepkach, z rękami obnażonemi, tak że widocznem było, iż gźła nie nosił, a twarda odzież za włosiennicę mu służyła. Twarz mimo postów i umartwień miał krą-

głą, pełną i zdrową, a brwi, jak dwie wiechy pół siwe...

Z dala postrzegł Pawłek parami idących kilka dziewcząt różnego wzrostu, także w sukniach burych, a za nimi w pewnej odległości tak samo odzianych chłopców dorosłych i małych, za którymi szedł Ojczulo w kapturze na głowie, z kiem w ręku..., człek wychudły, sihy jednak i oblicza snrowego.

Chłopcy z księdzem szli ku jednemu bndynkowi na prawo, a dziewczęta ze starą niewiastą, chustą ciemną osłoniętą i przygarbioną, zwracały się na lewo.

Włodek na zbliżającego się bratanka patrzył z uwagą i zdawał się go poznawać. Pawłek pośpieszył rękę jego ucałować.

— Bóg z tobą! z czemże ty do mnie? — nie odstępując odedrzwi, które sobą zasłaniał rzekł stary.

— Stryju miły, — odparł Nałęcz, który natury był powolnej i do każdego zastosować się umiał. Stało się o czemby długo bając przyszło, a no, ja i Zaręba, pobratym mój, potrzebujemy schronienia, bośmy przez księcia ścigani. —

Włodek się strasznie zachnął.

— Pogańskie syny! bezbożniki, cożście to zrobili? — zakrzyczał.

— Nic kary godnego! Zaręba się ważył księciu na oczy wyrzucać życie jego nierządne, a po

niewieranie żony. Rozgniewał się Przemko, trzeba było z życiem uchodzić.

Włodek głową począł kręcić.

— Kłamiesz! — rzekł.

— Prawdę powiedział, jak mi Bóg miły!

— A u mnie myślicie, dla dwu łotrów z rozpustnego dworu schronienie? — zawołał Włodek. — Ja dla was życia nie zmienię, a wy tu nie wytrwacie. — Czy ty nie wiesz jakie u mnie życie?

— Wiemy, że u was klasztor, — rzekł Nałęcz, — ale i po klasztorach przyjmują ludzi do izb gościnnych. —

— Klasztoru u mnie nie ma! — przerwał stary — ale chrześcijańskie życie jest! takie jakie wszędzie powinno być! Modlitwa; od której nikomu się nie dam uwolnić — post, karność. — Co u mnie tu po takich dwu trutniach nawykłych do dworskiej rozpusty?

Co wy tu robić będziecie?

— Odpoczniemy dzień jaki. —

Włodek mruczał.

— Nie odpędzę was od wrót, — rzekł, — ale, pamiętajcie, u mnie jedno prawo dla wszystkich. Kto tu wszedł, musi ze mną Boga chwalić.. na wszelki sposób. —

— Toć i my nie poganie!

— A, poganie! poganie! tak jakem ja był dopókim nie przejrzał! — odezwał się stary. — Cielsko u was Bogiem, brzuch oltarzem, rozpusta

nałogi m! Poganie jesteście... Byłem ja wam podobnym, za to teraz pokutuję...

— My też do pokuty czas mamy...

— Co ty wiesz! — ofuknął stary. — Odebrałeś od śmierci posła, kiedy masz zdechnąć? Zawsze czas kajać się.

Pawłek stał milczący, bo ze starym spierać się nie dobrze było.

— No.. wjedźcie, wjedźcie — dodał gospodarz, ale ja was, owice zarażonych do mojej trzody nie puszcze. Jest u wrót domostwo puste, tam sobie mieszkajcie. A żebyście mi po dworze się nie włóczyli, młodzieży mi nie bałamucili. Na ehleb wspólny do dworu możecie przyjść, zobaczym jak się sprawać będziecie.. albo jedziecie osobno... My tu waszej społeczności nie żądni!

Nałęcz chciał coś powiedzieć, stary mu usta zamknął.

— U mnie posłuszeństwo pierwsze prawo — dodał. — Chcecie przytułku, uagnijcie karku.

Pawłek się skłonił, Włodek krzyknął po za się do dworu.

— Zadra! Sam tu!

Zjawił się stary człek, także buro i ubogo odziany, w czapczce na lysej głowie, z oczyma przymrużonemi.

— Masz oto gości dwu — rzekł Włodek do niego — gospoda dla nich podle wrót, a konie do szopy... Siana posłać, strawa ta co dla

wszystkich.. Tacy ludzie jak i my, muszą co i my pożywać i być radzi.

Wtem z różańcem w ręku nadciągnął Ojczulo, który się zdała przybyszom przypatrywał.

Pawłek wiedząc kto był, skłonił mu się pokornie.

— A w rękę duchownego nie możesz pocałować? — krzyknął Włodek.

Trzeba było pójść do ręki, którą mnich go pobłogosławił.

W twarzy ascety widać było pokój z apatją graniczący, dobroć chłodną... W ciągu powitania szeptał modlitwę i różaniec z dużych paciery złożony, w chudych, czarnych rękach przesuwiał...

Włodek z wielkiem poszanowaniem opowiedział mu o przybyłym, co mnich przyjął obojętnie.

Gdy Pawłek ze starym rozmawiał, Zadra wpuścił już Zarebę z końmi do środka.

Michno z konia zsiadłszy, którego chłopak przybył wziąć do stajen, podstąpił do gospodarza domu.

Szedł ze swą zwykłą butą, teraz jeszcze gniewem urosłą, która się nie miała czasu uspokoić, bez tej pokory i uniżoności, jakiej wymagał Włodek, trochę dla siebie a więcej dla Ojczula.

— Druh mój i pobratym — odezwał się — już powiedzieć musiał, co nas tu za bieda zagnała. Miłościwy panie, daj nam do czasu schro-

nienie! Zwadziłem się z panem moim, ale sromać się nie mam czego.

Bezlitośny jest, a życie w jawnym grzechu. Nie napominają go inni, że żonę nieszczęśliwą daje na łup nierządnicy — serce mi się ścisnęło widokiem cnotliwej pani — rzekłem mu prawdę w oczy i przed gniewem uchodzić muszę.

Włodek i Ojczuło, który choć niemiec, mowę polską rozumiał, słuchali pilnie.

— Pięknie mówicie! ho! ho — odparł stary — ale mi się to coś dziwnem zda, żeście tak księżnę cnotliwą umiłowali, a panu się stawili jczem! Są tam duchowni ojcowie przecie...

— Duchowni są a milezą — zawołał Zaręba — więc gdy ludzie nie mówią, kamienie krzyczeć muszą. Com uczynił, nie żałuję tego ani się wstydam. Pan jest bez serca, okrutny, a księżna już zamęczona przez niepocziwych...

Ojczuło przysłuchiwał się modląc po cichu.

Włodek na dwór u wrót wskazał i rzekł krótko:

— Idźcież spocząć!

Z tą odprawą dumny Zaręba, nie czekając dłużej, zawrócił się nasepiony, skinąwszy na towarzysza i poszedł kędy mu wskazano.

— He? — odezwał się idąc do Pawłka — my tu pono długo nie będziemy popasali. Wytrwać będzie trudno. Z biedy i pod suche drzewo człowiek się chowa.

We dworku pod wrotami zimno było, pusto,

niegościnnie... Służba chodziła milcząca i jak wystraszona.

Ledwie legli spoczywać, gdy dzwonek się dał słyszeć do obiadu.

Rzędami znowu szły dziewczęta i chłopcy, którym zdawała się goście się przypatrywali; dziewczęta z głowami pospuszczanemi, ręce na piersiach poskładane, chłopcy podobnie.

Wszystko to we drzwiach dworu znikło.

Nie wiedzieli jeszcze czy i oni dzwonekowi posłuszni być mieli, gdy ich do stołu wspólnego zawołano.

W ogromnej izbie, której całą ścianę wielki krzyż czarny zajmował, opodal od siebie ubogo nakryte stoły czekały na biesiadników. Około drzwi z jednej strony dziewczęta już stały różnego wzrostu, ale w jednej odzieży, z włosami krótko poostrzyżanemi, z drugiej chłopcy bosi i w trepkach. Z boku podwyższony pulpit czekał na lektora.

Na stolach już stały nisy i mało co kubków drewnianych, a że dzień postny był, zdawała zacho-  
dzila woń mąki i oleju.

W głębi Ojczuło i Włodek, czekali na gości aby sięść. — Tym czasem wyrostek z bystremi oczyma, z głową już wygoloną jak u mnicha, zabierał się do czytania, a raczej do opowiadania językiem łamanym i mało zrozumiałym, co przed sobą miał po łacinie.

Zareba i Nalęcz patrząc na ten osobliwy

klasztór, weszli, i na wskazanych przy gospodarzu miejscach stanęli, Ojczulo mruczał już Benedicite i żegnał stoły.

Milczenie panowało w jadalni, gdy dokończył, usiedli wszyscy.

Zaręba spojrział co na misach stało, bo byli głodni. Post był. — Kasza z olejem, polewka owsiana z kluskami i małe płotki przyskwawzone w oleju a mocno cuchnące — składały całą zastawę.

We dzbankach woda stała i piwo cienkie.

Zaczęto pożywać a Zaręba do chleba się zabrał, choć czarny był, bo mu się najpożywniejszym wydał.

— Nie zasmakuje wam jadło moje — rzekł uśmiechając się Włodek. — U nas post, grzechu pod moim dachem nie ścierpie, jedzcie eo Bóg dał.

W milczeniu dziewczęta z jednej, chłopcy z drugiej strony chwyтали z mis co mogli, kromkami chleba pomagając sobie zamiast łyżek, chlepiąc i chrupiąc.

Wyrostek przy pulcie plótl jaskając się, ezego pewnie sam nie rozumiał — słuchali wszyscy.

Jedzenie nie trwało długo, bo z mis znikło wszystko co na nich stało, a nowych nie przyniesiono. Ojczulo powstał dziękczynną odmawiając modlitwę. Dziewczęta ustawiły się w rząd i pociągnęły pierwsze, chłopcy w pewnem oddaleniu za niemi.

Zostali tylko Ojczulo, gospodarz i goście.



— My wkrótce do kaplicy na modlitwę idziemy — rzekł Włodek — kto chce może z nami, nikogo nie zmuszam. Zabawy u mnie innej nie ma.

To mówiąc stary pocałował księdza w rękę. Zaręba się sklonił, skinął na Pawlka i wyszli.

— Ty co lepiej pana stryja znasz — zapytał Michno w podwórzu — powiedz mi, chyba tu nie codzień takie gody, na jakieśmy dziś trafili?

— Owszem, porządek to powszedni, a czasem i gorzej bywa — rozśmiał się Pawlek. — To tylko adwent a w wielkim poście we dwoje ostrzejszy post, we dwójnasób dłuższa modlitwa, dzienna i nocna.

— Wolalbym już naprawdę mnichem zostać! — rzekł Zaręba.

— Mnie się też zda, że stryj na tem skończy, iż dwa klasztory założy, córki w jednym a synów w drugim zamykając — odezwał się Pawlek. — Dwaj prawi synowie, niemogąc tu życia znieść, poszli na inne wioski i rycersko służą.

— Do tychby i nam potrzeba — zakończył Zaręba — bo rychło z głodu poumieramy.

Wrócili do dworku, gdy już dzwoniło na modlitwę i parami znowu ciągnęły dzieci do kaplicy. Dwaj pobratymy podzielili się i Zaręba spoczywać, a Pawlek poszedł się modlić.

Kapliczka była nie wytworna, ale schludna. U W. Ołtarza stał sam Ojczulo a Włodek w komży mu posługiwał. Śpiewano pieśni, odmawiano mo-

dlitwy, podano na twarz i nabożeństwo niemal do nocy się przeciągnęło.

Wieczorne jadlo przysłano gościom do dworku, a było tak chude i biedne, jak raunc, tylko mniej niż pierwszym razem... Zaręba do innego stołu nawykły, bo jadł i pił dużo, posmutniał.

— Jeśli ci tu życie smakuje — odezwał się ocierając usta — siedź sobie, a ja, jutro w świat, nie wytrwam.

— Przecie wiesz, że razem być musimy — rzekł Nalęcz. — Jutro pójdziemy innego kąta szukać, a pogoń nas może minie.

Pokładli się spać głodni.

Pawlek, który był wyszedł pode dwór raz jeszcze, aby się z Włodkiem rozmówić, dowiedział się od czeladzi, że to była godzina biczowania. Chłostę zdążyła nawet posłyszawszy, prędko do dworku powrócił.

Rano trąbka nader wesoło grająca u wrót, zbudziła ich obu.

Porwali się na nogi prawie przestraszeni, nie mogąc zrozumieć, kto w tym smutnym dworze tak się śmiał odzywać wesoło.

We wrotach stał konny ze psy i kilku ludźmi, śmiało jak do domu wtargnąwszy. — Młody był, przystojny mężczyzna. Ten na mnicha wcale nie wyglądał i twarz miał wesołą, a na tutejsze prawo domowe mało baczyć się zdawał.

Domyslili się łatwo, że syn być musiał starszy

gospodarza, o którym wiedzieli, że w bliskość na wsi mieszkał. Tomko mu było na imie. Znal go Pawłek dawniej i zarzuciwszy na się kożuch, wybiegł przeciw niemu.

Myśliwiec nierychło go sobie przypomniał i poznał. ale gdy przemówił, zsiadł zaraz do niego, aby uścisnąć. Stary Włodek, który już był na modlitwie, nie wychodził do syna.

— Ty, tu? — zawołał młody — a zkadżeś się wziął! co cię tu przyniosło! Wpadłeś biedaku na post i umartwienie, na pokutę do ojca mego?

Należcz prędko spowiadać mu się począł ze wszystkiego i zaprowadził go do izby, w której Zareba odziewał się dopiero. Powitali się.

Tomko, który na dworze ksząjącym próbował żyć, a niepowiodło mu się, Przemysława nie bardzo lubił. Słuchał więc powieści, gorąco potakując i biorąc ją do serca.

— Wy tu nie macie eo robić — rzekł — jedźcie ze mną. Ja, choć ojca kocham i szanuję, z nim bym pono nie wyżył. On teraz tak się do nieba dobija, jak dawniej żywot pełnemi spijał. Wola jego! Wszystkim jednak tak żyć trudno. Z tej dziatwy, którą w mnisze habity pozaszywał, zawezasu już mu dwoje starszych dziewcząt i ze trzech chłopców przez tyny poucickają.

Tomko śmiał się, ale u drzwi posłyszawszy kroki, zamilkł.

Stary Włodek z rękami rozpostartemi wchodził

witać syna. Był to jego najmilszy, którego on tak kochał, że mu nawet jego światowe usposobienie przebaczał, mówiąc, że mu nawrócenie wymodli.

Ścisnął go za kolana Tomko, a ten drząc głowę mu ujął i całował.

— Cóż, już na łowy, od rana? a mszy słuchałeś?

— Nie zdążyłem na nią — rzekł Tomko.

Włodek milcząc na gości ukazał, jakby chciał powiedzieć — Uwolnijże ty mnie od nich.

— Ja Pawłka i Zarebę do siebie namawiam — zawołał domysliwszy się Tomko. — Oni tu u was umrą z głodu i tęsknicy.

Stary poruszył ramionami.

— Poganieście wy wszyscy, poganie — rzekł. — Gdybyśmy my się za was nie modlili, Pan Bóg by tę ziemię karał srożej jeszcze...

Westchnął; ale spojrzawszy na syna, wnet poweselał. — Ścisnął go, przyglądał mu się z widoczną pociechą. Piękny był, życia pełen. Myśl pobożnego ojca mimowoli tą bujną młodością się radowała.

— Do stołu ja ciebie i tych gości dziś nie wzywam — mruknął po namyśle. — My dziś z suchotami, a ty, poganinie, z ojca i z postu i z nas gotówes sobie drwiny stroić. Przysłę wam tu co przekąsić... gubcie dusze, ale niech ja na to nie patrzę.

U nas dziś suchoty.

— Dobrze ojcze kochany — odparł Tomko — a ja za pozwoleniem twem sam pójdę do piwnicy i na kuchnię pogospodarować.

— Idź, ale bez pozwolenia — rzekł Włodek.

Dano do dworku dnia tego obficie jadła i lepszego — co Tomkowi zawdzięczali. Po obiedzie rannym, pożegnali gospodarza, i wyruszyli z Nałęczyna.

Młody zawiózł ich do swojego dworu. Nowy on był na wydartych świeżo trzebieżach w puszczy, nie obromy, bo las do koła go osłaniał. Mało się tu najazdu obawiano. Dostatnio było na nowosiedlinach, wesoło i ochoczo.

Wyszła przeciw przybywającemu młoda żona Sulisława, nie wiedząc, że gości z sobą prowa-  
dził. Zobaczywszy ich skryła się zaraz, bo po domowemu odzianą była, a do obcych musiała wystąpić inaczej. I przyjęcie ich też dostatniejsze nakazać trzeba było niż chleb powszedni.

Zaręba tu odżył i poweselał dopiero, gdy siedli za stół dobrze zastawny, do którego wyszła piękna i strojna gospodyni, którą małżonek tak miłował, że jej to i przy obcych okazywał.

Zaczęła się rozmowa o dworze, o Lukierdzie, o życiu Przemysława. Zaręba z serca mówił i gorąco, a młoda pani płakała rzewnymi łzami nad losem księżnej. Tomko się oburzał.

— Twoja sprawa — rzekł w końcu — nasza sprawa! Nałęcz i Zarębowie razem pójda mścić

się za krzywdę pani i za waszą. O pomstę do Boga woła takie okrucieństwo.

— Tyranem jest dla żony i tyranem dla wszystkich — zawołał Zaręba. — Dalej ziemianie u niego nie znaczyć nie będą i pójdą w niewolę.

Pamiętajmy, że nasi ojcowie ich wybierali i podnosili na księztwa a zrzucali gdy chcieli. Dziś my co? sługi tylko, którym co każą to robić muszą. Rodu tego Piastowego dosyć jest.. Mamy w kim wybierać... Czy to nowa rzecz będzie, gdy go wygnamy, a posadzim innego?

— A nowy pan zawsze lepszy! — dodał Tomko  
Pawłek obyczajem swym milezał.

Co dla Zaręby dobrem było, to i on przyjmował chętnie. Umówiono się więc do Orlika Zaręby, który w głębi Kaliskiego mieszkał, Nałęczów zwołać i Zarębów, aby się naradzić, jak przeciw księciu Przemysławowi występować mieli i co czynić.

— Cicho tylko a rozzumnie — zamruczał ostrożny Pawłek — Gdy zawczasu wrzawy narobiemy, połapią nas i pojną a pościnają bez sądu. Leszek za lada co ziemian na głowie, imieniu i czei karze.. Cicho musimy iść, aby do swego dojść.

Zasiedli więc u Tomka, z kąd Zaręba pokryjomn poczał na różne strony się wymykać swoich i Nałęczów podburzając przeciw księcin.

---

## II.

Kanclerz Wincenty wyjechawszy z Poznania po cichu, tak że mało kto z bliższych wiedział o jego podróży, ściągnął pierwszego dnia na nocleg do wsi kościelnej, w której na probostwie chciał spocząć.

Zbliżając się do plebanii — zdziwił się i zasmucił widząc ją otoczoną mnogim ludem jeżdżącym który tylko co z koni zsiadał. Domyślał się, że ktoś dostojny zawitać tu musiał, bo i ksiądz i klechy jego i co było czeladzi, zwijało się około domku, jakby głowy potracili.

Orszak bardzo wspaniały z cudzoziemska się przedstawiał, pańsko, świetnie, a nie można było na pierwszy rzut oka rozpoznać do kogo należał, świeckiego czy duchownego pana, bo wśród niego zbroi i sutanu po równi było. Noc się zbliżała

i ksiądz Wincenty namyslał się co pocznie z sobą, bo tu dlań miejsca już nie było, a i dla samych przejezdnych skąpo być musiało, bo się do sąsiednich chat wpraszałi.

Stałał więc z wozem swym i czeladzią rozglądając się po wiosce, gdzieby i on mógł głowę przytulić.

W tem wychodzący z plebanii dworzanie księdza na drodze zobaczywszy z wozem, kłaniać mu się poczęli wymijając go, a jeden zapytał z kąd by jechał. Więc też kanclerz zagadnął.

— A wy z kąd?

— My! ojeze! z dalekiej bardzo strony, z długiej drogi, — rzekł śmiejąc się dworzaniu. — Wracamy z Rzymu. . .

— Jako, z Rzymu? — zawołał ks. Wincenty poruszony tem niemal, — a z kimże to jedziecie? komu towarzyszycie?

Stojący przy wozie, minę miał figlarną.

— Z kim! — odparł — a toć z przyszłym przez Ojca Świętego naznaczonym na Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie nominatem. . ., bo Włościbora tam nie chcieli.

Ks. Wincenty aż się przeżegnał.

Podróż więc przez niego przedsięwzięta nie potrzebną już była. Ze trwogą począł pytać.

Któż mianowany? Włoch czy Francuz?

Pewien bowiem był, iż obcy być mni, a gorzko mu się bardzo stało na duszy.



— Ani Włoch, ani Francuz, ani żaden obcy, nasz własny rodzic — tylko, że jeszcze duchownych święceń nie ma... pan nasz Jakób Świnka.

Oniemiał kanclerz z podziwu, i ręce załamał.

— Jakże to może być! — wołał.

— Dla czegoż by być niemiało, — prawil gadatliwy dworzanin. — Wola Ojca Świętego wszystko może.

Z naszym panem niegdy przyjaciółmi byli, towarzyszami. Ojciec Św. go uprosił, zaklął i nakłonił siłą prawie, aby suknię duchowną wdział i to dostojenstwo przyjął.

— Juści wy, — przerwał kanclerz, — nie żartowalibyście sobie ze mnie?

— Nie śmielibyśmy z osoby duchownej — rzekł dworzanin. — Bóg niech uchowa! Święta prawa jest, co mówię. Jedziemy wprost z listy rzymskimi, aby naszego pana wyświęcili Biskupi.

Kanclerz znał niegdyś Świnkę świeckim człowiekiem, więcej może przez drugich niż przez się.

Wiedział, że rozumny był, nauki miłujący, ale pamiętał go młodszym, rycerskiego usposobienia, do stanu duchownego wcale nie skłonnym. Nie wiedział smucić się, czy cieszyć. Rażony był.

Bądź co bądź, podróż w którą się wybrał była skończoną, pozostawało mu albo do Poznania zawrócić, lub wysiadłszy z wozu, iść na plebanję i pierwszemu nominata pozdrowić, a ujrzeć na oczy, co się w nim kościołowi obiecywało.

W niepewności tej stał jeszcze ks. Wineenty z wozem i ludźmi, gdy spojrzawszy na plebanję, poezuł jakby głos wewnętrzny mówiący mu, iż tam był iść powinien.

— Niechże onego wybrańca Bożego pozdrowię pierwszy — rzekł w duchu — boć eo się stało, odstać się już nie może. — Rzym rzekł. —

Zostawiwszy wóz swój i ezeladź z klerykiem, który mu towarzyszył, ks. Wineenty zsiadł, ociągnął suknię i przeżegnawszy się do plebanii zwołna podążył. Dworek był niewielki, eiasnota w nim, do środka dostać nie łatwo.

Obozem wówczas jeszcze niemal eala Polska stała i długo jeszcze potem. Wytwornych i obszer-nych budowli próżno w niej szukać było. Plebanje i dwory większej części ziemian, rozszerzonymi tylko ehatami zwać się mogły. Częste pożary, napady nieprzyjaciół, którzy niszczyli wszystko, nie dopuszczały na długie rachować lata, trwale i wygodnie się mieścić.

I ten też domek proboszczowski przy drewnianym jak on wiejskim kościółku, bardzo był szczupły i skromny. Składał się on z dużej sieni, z dwóch izb i komory po jednej stronie, po drugiej z izb dla kłehów i gospodarskich, kilkunastu ludzi, z ezeladzią miejseową wypełniali już prawie wszystkie kąty. A gdy ks. Wincenty wszedł do sieni, w której dwór nominata przy

ognisku się ogrzewał ledwie się mógł przezeń przeci-nać.

Poziębli ludzie, gwarzyli u komina wielkiego dosyć wesolo.

Z po za drzwi do pierwszej izby wiodących, słyhać było głośną rozmowę.

Kancelarz, choć niemałego znaczenia osoba duchowna, wyglądał dosyć skromnym i pokornym, nie bardzo więc nań zważano.

Nieśmiały pomimo wieku wahał się czy ma bez oznajmienia wuijść do środka, gdy młody Wikarjusz mu się nastęczył, który biegł właśnie do klechów pociś wysłany.

Znal on księdza Wincentego z Poznania, wiedział jakie stanowisko zajmował i zdumiał się zobaczywszy go tak pokornie stojącego w sieni.

Sądził zrazu, że należał do towarzystwa nominata. Chciał mu drzwi otwierać, gdy go ks. Wincenty zatrzymał.

— Ja wprost z Poznania jadę — rzekł. — Tylko co przybywam, i tylko co się dowiaduję o Arcybiskupie, oznajmijcie mu o mnie.

Zaledwie Wikarjusz spełnił to polecenie, gdy proboszcz już wyszedł na przeciw niego, a u progu czekał nań Świnka.

Izba dosyć duża, w której proboszcz zwykł był przyjmować, tak była ubogą i ze wszelkich ozdób ogołoconą, jak na owe czasy przystało. Stół i ławy, krzyż na ścianie, kropielnica u drzwi,

nieopodal odedrzwi police, na których kilka kubków stało garnearską robotą.

Płomień ogniska rzucało blask na stojącego na przeciw w sile wieku męzkiego Jakóba Świnkę, na którym świeżo przywdziana suknia ciemna, krojem świeckiemu duchowieństwu właściwym, sprzeczała się niemal z rycerską postawą człowieka, co niedawno jeszcze chadzał we zbroi.

Szlachetne oblicze, czoło wyniosłe, spojrzenie śmiałe i jasne, usta uśmiechnięte łagodnie, twarzy nadawały wyraz obudzający współczucie i poszanowanie.

Każdy co go widział czuł, że to był mąż niepospolity, wybraniec, obdarzony rozumem i siłą woli, bez której sam rozum nie waży nic.

Coś jeszcze nieśmiałego było w nim, jakby ze swem nowem powołaniem nie obył się dosyć a musiał na siebie pamiętać.

Ujrawszy kanclerza Świnka, obie ręce podniósł uśmiechając się doń.

— Ojcie Wincenty — rzekł — oglądaj we mnie end Boga wszechmogącego, Szawła, któremu Pawłem zostać kazano, niegodne naczynie, którem czerpać chce Bóg i wylewać najdroższe dary swoje. *Non sum dignus!* wołałem z głębi duszy mej i wołam, ale uleż musiał woli Ojca Świętego. Cóż wy na to? co wy, starzy, zasłużeni, godniejsi nademnie — powiecie?

Prawym mężem był ks. Wincenty, a od wszel-

kiego pochlebstwa dalekim, spuścił głowę i rzekł zciela :

— Co Bóg nam przez pomazańca swego uczynić raczył, dobrem być musi. Zatem wola Jego błogosławiona. Szczęśliw jestem, że ja pierwszy witam przyszłego Pasterza.

Cheiał go w rękę neałować, gdy Świnka uści-  
snał starego ze wzrnszeniem.

— A! wierz mi, wierz, ks. Kancelerzn—rzekł—  
anim się dobijał, nim pragnął tego dostojenstwa  
Jest ono brzemieniem wielkiem w tych ziemiach  
naszych rozbitych i osłabłych niemocą długą.  
Jednoczyć ciągle co się rozpryska, walczyć z sa-  
mowolą możnych książątek, nkracać ich zachcianki,  
karać gwałty, ciągle prawo Boże przypominać  
tym, co i żadnego ludzkiego znać nie chcą..  
stać na najwyższej straży!.. ciężka to sprawa  
i brzemień straszliwe!!

Czną było przejęcie wielkie i uniesienie w mowie  
nowego Arcypasterza. Ks. Wincenty czytał w nim  
jak głęboko był jeszcze poruszony uowem powo-  
łaniem swoim. Mówił żywo a słowa płynęły mu  
z gorączkowym pośpiechem.

— Ojciec mój — ciągnął dalej wskazując sie-  
dzenie, a zapominając co go tu sprowadziło. —  
Prawdziwy traf losu, niespodziewany, nieprzewi-  
dywany narzcił mnie wam...

Wiecie czy nie, żeś nigdy we Francyi z dzi-  
siejszym Ojcem naszym Papieżem rzymskim, zna-

jomym był blisko i poprzyjaźnionym. Odbywając podróż dla obeznania się z krajami obcemi, gdy się dowiedział, że on zasiadł na Apostolskiej stolicy, udałem się do Rzymu aby go pozdrowić i ojcowskie otrzymać błogosławieństwo. Zabawiłem w tej stolicy ruin i wspomnień dosyć długo, doznając od Ojca św. jak najlaskawszego przyjęcia. Przyszła pod ten czas sprawa obsadzenia stolicy osieroconej Gnieźnieńskiej, na którą ks. Włościbora wybrano, a tego sobie Leszek nie życzył i inui. On się też sam zrzekał ciężkiego do stojeństwa.

Jako świadomy położenia kraju naszego, powołany byłem przez Ojca Świętego, abym mu o nim opowiadał. Odmalowałem nieszczęśliwe położenie nasze, rozdrapane to królestwo niegdyś mocne, wojny książąt o kawałki ziemi, nieład, spustoszenie, okrucieństwa, samowolę, nieposzanowanie własności duchownej i prawa... Mówiłem ze łzami prawie i poruszeniem, bo kocham tę ziemię, a los mnie jej obchodzi.

Słuchał Papież przez dni kilka bołściwie się użalającego, wreszcie gdy mnie raz jeszcze o Polskę zagadnął i obsadzenie Metropolij, gdy mu potrzebę narzucenia męża silnej woli okazywał, nagle rzekł mi: — Ty jeden nim być możesz!

Uwierzcie mi, poprzysiądz wam na to mogę, że słowo to wyrzeczone nagle, na chwilę w słup mnie obróciło. Wziąłem je za żart, nie chcąc

wierzyć... Rozśmiałem się. Byłem człowiekiem świeckim, rycerskiemu rzemiosłu oddanym, a choć naukę kochałem, pismom czytał a chętnie się mądrym przysłuchiwał, nigdy nie pomyślał o stanie duchownym, nie czuł się godnym niego.

— Ojciec Święty — rzekłem wskazując na miecz u boku — stowem wojować nie chciałem się.

— Duch Święty cię natchnie — mówił Papież. Tam trzeba Pasterza eoby i wodzem i żołnierzem miał być. Mnie Ciebie tu P. Bóg na to zesłał i wskazuje, idź i dźwigaj to królestwo, które jest córą apostolskiej stolicy.

Nie poddałem się zrazu woli Ojca Świętego, podziękowałem i odszedłem. Nazajutrz kilkunastu innych kandydatów przyniosłem Papieżowi, nie biorąc słów jego za rozkaz stanowczy. Tamtych nie znam, rzekł mi — a ciebie od lat wielu. Teologii ci dodadzą scholastycy twoi, kanonicy i kapituła, a serce i wolę ty im zaniesiesz. Idź, mówię ci, wzywam w Imię Tego, którego jestem zastępcą na ziemi.

Opierałem się długo jeszcze. Rzekł mi Ojciec Święty, że u grobu Świętych Apostołów Piotra i Pawła pójdzie o natchnienie się modlić, abym i ja na mszy w Krypcie był. Posłusznym byłem. Po ofierze świętej przyszedł do mnie jeszcze w sukniach, w których u ołtarza stał, nie zrzucając ich, i położył mi jedną rękę na głowie,

drugą na ramieniu — mówiąc — Idź! wysyłam cię i błogosławię — Idź! rozkazuję ci!

Takem wręście uledez musiał, i o to mnie widzicie ze drzeniem idącego na stanowisko moje.

O. Wincenty słuchał z żywym przejęciem się i łzami na oczach.

— Wola Boża w tem jest — rzekł — a ja się szczególnie cieszę, że się ona teraz objawiła, bo przyniesiecie prędką pociechę panu naszemu, a mnie uwolnicie od obowiązku ciężkiego podróży do Rzymu.

Świnka zbliżył się ku niemu ciekawie.

— Tak jest — kończył kanclerz — pan nasz Przemysław, który wielce boleje nad tem, iż od tak dawna stoi osieroconą ta stolica, wysyłał mnie o to z listami i prośbą do Ojca Świętego, aby co rychlej ją obsadzić raczył.

— A miałże kogo na myśli? — zapytał Świnka.

— Nie... Oto są listy, patrzcie i czytajcie. Ziściły się życzenia jego, pragnął męża silnej woli a takiego w Was, Bóg mu daje.

Świnka zadumany ręce załamał.

— O dziwne losy zrządzenie! — zawołał. — Jest tamn lat około dziesięciu, gdy na dworze książęcym bawił. Był podówczas ów pobożny, istnie świętej pamięci pan Kaliski, książę Bolesław. U stołu mowa się wzięła o ziemi tej i jej losach. Ktoś, nie pomnę, rzekł że znowu ją pod jedną koronę na głowie Przemysława zjednoczyć



potrzeba. Jam to powiedział czy inny?? niepewnę, a książę dodał, iż chyba ja arcybiskupem zostawszy koronę mu tę włożę na skronie. Patrzcież, jak najnieprawdopodobniejsza rzecz, dziś już na pół możliwą się stała.. gdy ja, prosty Miles, wyszedł na to dostojęństwo, o którym nigdy nie marzył!

— Bogdajby tak i reszta przepowiedzi ziścić się mogła! — szepnął Kanclerz. — Że myśl o jedynem królestwie trwa stale w myśli pana naszego, ja o tem wiem najlepiej. Potrzeba powagi i władzy świeckiej jednej nad temi nieswornemi książętami, jak w kościele metropolitalnej nad nami.

— Ojciec mój — przerwał Świnka z zapalem młodzieńczym człowieka, który jeszcze się nie stał z rzeczywistością i myśl w sobie żywi, nie widząc przeszkód, jakie jej ziszczenie utrudnić mogą — ojciec mój! W kościele naszym i w kraju naszym, w obyczajach wiele jest do czynienia!

Ładu nie mamy. Sami nie wiemy czem jesteśmy.., niemcami na pół czy słowianami? Wiem jako król Ottokar skarżył się, iż mnisi obcy Czechy i Polskę zalewają, którzy języka tych ziem nie znają. Wyświęci się li kto z naszych, ślą go Niemcy tam gdzie się na nie nie zdał, bo rozmówić się nawet nie zdoła. Klasztory co taką pomocą byłyby duchowieństwu świeckiemu, są jako wyspy na morzu — żyją sobie same. Duchowieństwo wiejskie zdala od przełożonych nie ka-

pląński żywot prowadzi. Wszystko trzeba w kłuby ująć, wiele naprawić, a to ciężkie *pensum* Bóg złożył na ramiona prostego ziemianina żołnierza, dobrej woli ale nienka i niezdolnego... Jakże się niemam lękać, czy ja potrafię sprostać temu, czemu świątobliwi poprzednicy moi nie podolali?

Mowa ta poruszyła mocniej jeszcze kanclerza.

— Nie zapominajcież — rzekł poważnie — że większe Bóg cnda czynił z ludźmi, bo na Apostołów powoływał celników i rybaków, prostaczków a nie mędrców ze szkoły i nie uczonych z nad ksiąg...

Wy macie wszystko co mieć potrzeba, gdy jasno widzicie czego nam brakuje.

Radować się więc i dziękować Bogu! Hosanna!

— A mnie z pokorą i poświęceniem iść tą drogą ciernistą — rzekł Świnka — bo że ona różami nie będzie usłaną — wiem zawczasu. Nie-nawisć książąt, przeciw którym wystąpić muszę, niechęć duchownych, których na drogę lepszą zwrócić potrzeba, nieprzyjaźń Niemców, od których się bronić należy — wszystko to mnie czeka!

Przeżegnał się Świnka i dodał, rękę wyciągając do kanclerza.

— Liczę na pomoc waszą, na duchowieństwa czoło, że mnie nie opuści i podeprze...

Gdy to mówili, Proboszcz, dosyć wylekły starowina, na stole sam z czeladzią przysposabiał posilek wieczorny, ubogi, bo go na inny nie stało.

Zastawiono misy z rybami, kaszę, grzyby chleb i co Bóg dał pod ubogą strzechą.

Świnka wstał i zbliżył się do stołu prosząc kanclerza aby go pobłogosławił. Gospodarz ręce na piersiach złożwszy, wymawiał się, iż tak biednie arcypasterza przyjmuje.

— Gdybym był zawczasu wiedział — rzekł — posłałbym rybaków sieci zarzucić, możeby co lepszego złowić się udało.

— Mnie, mój ojcie, wszystko dobre — rzekł Świnka wesoło — bom ja nawykł do niewygód i do prostego jadła. 'Za górami też u włochoów nie popsulem podniebienia, choć tam różne przysmaki dają. Naszym ustom one wstrętne, a lepiej chleb nasz czarny niż ich białe kołaczce smakuje.

Zaczem siedli, a nominat proboszcza gwałtem przy sobie umieścił, poufale go wypytując o stan parafii, dochody i fundusze kościoła.

— Dajemy sobie rady jako zmożemy — mówił Proboszcz — choć z dziesięcinami zawsze frasunek wielki i utrapienie. Radzi nas najgorszym snopkiem zbyć. W lasach też i na ziemiach nadanych probostwu króluje kto chce i czyja wola a łaska, niepatrzając prawa. W przejeździe łada urzędnik o plebanją zawadzi, przyjmować go z ludźmi i końmi potrzeba. Ot — żyje się jak Bóg dał.

-- Myśmy też służyć Boży — odparł Nominat — do łatwego a wygodnego życia nie po-

wołani. Widziemy to na zakonach benedyktynów, cystersów a nawet i innych, jak łatwo człowiek naszego stanu, przy dostatku wielkim popsuć się i zleniwieć może. Nie ci oni są co dawniej byli. Dlatego Św. Dominik i Franciszek ubóstwo dzieciom swym nakazał, grosza im brać wzbronił, aby od zepsucia ich ostrzegł.

Lecz zakony u nas — dodał — przez to głównie zwietrzały, że obcemi nasadzone były. Ci dobrze wyposażeni nie mieli co czynić, nikt ich, oni nikogo nie rozumieli... Ztąd gnuśność poszła i zepsucie. Swojami nam je trzeba zaludnić, aby oni z narodem jedno czuli, znali go, a mówić doń i prostować mogli.

Szła tak rozmowa przy krótkiej wieczerzy, po czem prędko, Gracje odmówiwszy wstali, a Świnka odwiódł kanclerza w róg izby.

— Mówcie mi, jako Pan nasz jest? co z nim?

Długo się na odpowiedź kanclerz namyślać musiał.

— Wiecie, że dwakroć u Ślązaków w niewoli był — rzekł. — Zdaje się, że wtóra ona dobrze poskutkowała, spoważniał, zmęźniał, serce mu pańskie urosło. Dobrego chce. Brak mu dziś takiego pomocnika i radźcy jakiego miał w Bolesławie Kalickim, i w Was, ojcze nasz, mieć będzie..

— Jeżeli ma wolę dobrą, Bóg siły użyczy! — odparł nominat.

— A księżna wasza? — zapytał po małym przestanku.

Kanclerz zaniemiał, oczy spuścił — wzdychał.

— Księżna — odezwał się nie rychło — nieszczęśliwą jest bo małżeństwo to nie dobre było dla obojga. Miłości nie było w niem i szczęścia nie ma. Obawiam się być prorokiem, lecz wkrótce pewnie stracimy panią pobożną, schnącą z tęsknicy i utrapienia. Niewiasty co ją otaczają złe są.

— Zawszeż trwają te piastowskie miłostki pokątne!? — pytał Świnka. — W nich wszystkich krew niepomierne gorąca, namiętności niepomahowane. Malo który nie wraca do pogańskiego nałożnie obyczaju, jako oto i Węgierski król choć nie Piast, co się Kumiankami otoczył, że mu je gwałtem odpędzić musiano!

— Zgorszenia nowego nie ma — odparł kanclerz — ale stara ulubienica trwa na dworze. Tej by się zbyć powinien, bo niegodziwą jest i władzę ma... Ona to podobno przyczyną nieszczęścia pani naszej.

— I bezdzietność się też do zniechęcenia przykładą — dodał Świnka.

— A potomstwa nadziei niema żadnej — mówił kanclerz — nieszczęśliwa Lukierda schorowana, jak cień chodzi, litość bierze patrzeć na nią.

— On że jej dla niej niema? — zapytał nominat.

— Nie — odczwał się kanclerz po cichu. — Niecierpliwi się pono i żżyma... Biedny jest, i nas

że patrzeć musimy, na domową dolę jego, nie-szczęśliwemi czyni.

Po tej cichej rozmowie, gdy w jedynej izbie pościele kłaść zaczęto, kazał Świnka kanclerzowi też przy sobie się położyć, aby na zimnie i niewygodzie nocy nie przebył, co by staremu szkodzić mogło.

Kłakszy na wieczorną modlitwę kanclerz mógł podziękować Bogu. — Spokojnym powracał, zbliżenie się do Świnki przekonało go, iż istotnie w mianowaniu tem była Boża łaska, gdy w chwili tej właśnie męża ducha wielkiego wymagającej, on wchodził na stolicę.

Takim wybranym od Boga wydał mu się Świnka.

Człowiek świecki, który nie wziął jeszcze na maszczenia, przynoszącego łaski stanu — miał on już pojęcie ciężkich obowiązków, jakie nań spaść miały. — Mąż był w sile wieku, do walki nawykły, znający świat nietylko swój, ale otaczający, bo całą niemal Europę za młodu przewędrował. —

Nazajutrz rano wstali wszyscy o brzasku i w kościółku wiejskim słuchał przyszły Arcybiskup mszy, której sam jeszcze nie miał prawa odmawiać, bo święcenia miał odebrać dopiero po przybyciu do kraju, razem kapłanem się stając i arcybiskupem.

Wprost z kościoła, po skromnym obiedzie, Świnka, kanclerz i cały orszak wyruszył do Poznania. Ks. Wincenty radował się niewymownie,

iż podróż swą skończył tak szczęśliwie nawet za granicę się nie wychyliwszy. —

Świnka nie zbyt spieszył — ciągnęli małemi dniami. Było to jakoś w pierwszej połowie Grudnia, zima się dopiero rozpoczynała, gruda ostra przykrą czyniła drogę, której śnieg jeszcze nie okrywał. Jechali zmuszeni zatrzymywać się dla podbitych koni i dla podków gubionych. Stawali więc spoczywać mimowo i.

Miał czas towarzyszący nominatowi kanclerz szeroko się z nim rozmówić o potrzebach kościoła i kraju, o wszystkiem, co dolegało i co było do naprawy.

Po drodze zamierzał Świnka skromnie i po cichu odwiedzić Poznań, pana swojego powitać i prosić go, aby przybył na uroczyste wyświęcenie, które natychmiast odbyć się miało.

Przedem wysłani do Gniezna gońce, do Biskupów i do księcia, mieli ich wszystkich wezwać do Kalisza.

Nie chciał zwlekać objęcia stolicy swej Świnka, bo ta i tak za długo już opróżnioną była.

Po drodze nie minęli żadnego kościoła i klasztoru, do którego by nie wstąpili, k rzystał i z tej podróży nominat, aby bliżej poznać stan duchowieństwa i kraju.

Niespodziewanie zjawiając się, trafił na otwarte rany, których pokryć nie miano czasu.

W klasztorach, jak mówił Świnka, panowała

wszędzie obczyzna, niemcy, włochoy, francuzi zapelniali je, a czując się wyższemi umysłowo od krajowców, lekceważyli ich sobie i władzę jaka w ich ręku spoczywała. Świuka obezuany z językami i obyczajem zachodnim, był dla tych przybyszów groźnym, bo mu wyższością swą nawiązać się nie mogli. Wracal z Rzymu, miał nawet tę powierchowność pół-cudzoziemską która u nas zawsze, od wieków dawała powagę i wziętość.

Był to właśnie mąż, jakiego pod te czasy rozprężenia kościoł polski potrzebował.

Dnia 15 Grudnia zbliżyli się do Poznania, w którym się na noc stanąć spodziewali, gdy popasając w gospodzie na wielkim gościńcu, — postrzegli dwóch ziemian przybywających do niej na zhasanych koniach.

Jedyna izba gościuna była zajęta przez nominata i dwór jego. jeźdźcy więc ani koni, ni siebie nie mając gdzie schronić, już mieli odciągać dalej, gdy Świnka zobaczywszy ich, do izby swej powołać kazal...

Dowiedzieli się od dworzan kto był.

Wezwani byli dwaj ludzie młodzi, po których ubraniu i ryzsztunku poznać było można, iż do zamożniejszych rodzin liczyć się musieli. Oba próg przestąpiszy, gdy mieli powitać duchownych, tak się wydali im pomieszani, niespokojni, pod wrażeniem jakimś świeżem i przykrem, — że Świu-



ka, nawykły czytać z ludzkich twarzy, co się w ich duszy działo — nie mógł się wstrzymać od zapytania.

— Cóż się to wam w drodze nadarzyło, że tak nie swoi wyglądacie?

W istocie oba młodzi, dyszeli, rzucali się, patrzyli, jakby na pół przytomność postradałi.

Jeden zwłaszcza, którego towarzysz hamować się starał, zdał się rozpaczającym.

— A! w drodze, — zawołał głosem namiętym odpowiadając Nominatowi — w drodze nie się nam nie stało, ale od rana niesiem się z tem nieszczęściem, z tą zbrodnią, która najobojętniejszego do wściekłości by pobudziła!

— Cóż to jest? — podchwycił kanclerz.

— Chrześcijanin do wściekłości nigdy się nie powinien dopuszczać, — dodał Świnka.

— Jakto? — wybuchnął przybyły, — miał by patrzeć obojętnie, gdy się takie zbrodnie dzieją? gdy niewinni cierpią męczeństwo? Dusza musi poruszyć się i wołać o pomstę do Boga.

I ręce podniósłszy do góry młody przybysz, jakby go ani przytomność obcych, ani dostojęństwo ich nie zdołało pohamować — począł głos podnosząc wyrzekać.

— Nie żyć już na tej ziemi! nie patrzeć na taką szkaradę! Lepiej do obcych, na pustynię!

— Na Boga! upamiętajcież się! — przerwał

Świnka, uspokójcie... Kto wy jesteście! o czym mówicie? Twarz wasza zda mi znajomą!

— Ja też Miłość Waszą widziałem przed laty — odparł przybyły, zawsze tym samym namiętnym i przerywanym głosem. Byłem niegdyś na dworze tego pana, który się stał niegodnym imienia chrześcijańskiego księcia. — Jestem Michno Zaręba. Porzuciłem księcia Przemysława, nie mogąc patrzeć na jego obchodzenie się bezduszne z księżną — porzuciłem go, a teraz, teraz poświecie szukać będę dla niej mścicieli! Nie godzien jest siedzieć na tej stolicy i żeby go ziemia nosiła.

— Człecze szalony! śmiesz to mówić przedemną? — przerwał mu Świnka z oburzeniem. — Gdybym świeckim był jeszcze, skarcił bym cię za to, bo szanuję pana tego.

— Szanujecie go, bo nieznacie jak ja! — krzyknął Zaręba. — Nie byliście w kraju, nie wiecie na co pozwalał, co się działo! Was to nie doszło, na co my oczymaśmy własnymi patrzyli.

— Nie sądz, abyś sądzonym nie był — podchwycił kanclerz. — Człecze! upamiętaj się!

— Ja chcę być sądzonym! — odparł Zaręba. — Nie mam na sobie nieszczęścia niczyjego, ani też krwawych... Gdybym mógł stanął bym przeciw niemu na sąd Boży!

— Raz jeszcze ostrzegam cię — groźnie zawołał Świnka, — powściągnij język swój przedemną

stojąc. Dałem wam się schronić nie po to, abym słuchał obelżywych wyrazów na pana mego. Chcecie spocząć, milczeć nakazuję. — Dość tego.

— A wiecież za co ja wołam o pomstę do Boga i dla czego milczeć nie mogę? Wiecie co się stało? — rzekł Zaręba.

Kancelarz przystąpił doń niespokojny, wołając:

— Stało się co? mów?

— Stało się, — krzyknął Zaręba ręce do góry podnosząc, — to, na co się zdawna gotowało! Wiedziałem, że się to tak skończyć musi...

Dzisiejszej uocy z rozkazu księcia służebne udusiły Lukierdę!

Okrzyk zgrozy dał się słyszeć z nst wszystkich.

— Nie może to być! potwarz jest! — zawołał kancelarz.

— Potwarz!! — zaśmiał się Zaręba dumnie. — Ja wracam z tamtąd, jadę z Poznania! Jedźcie, posłuchajcie, w ulicy wam lud powie co się stało! Zabójstwo było jawne, wie o niem cały świat. Jęczy lud wszystek.. Tak! zaduszono nie-szczęśliwą!

Zaręba jęknął, uderzył się w czoło, rzucił ku drzwiom i jakby spełniał obowiązek rozwożąc wieść o morderstwie, siadł na koń z towarzyszem, lecąc dalej.

### III.

Noc z dnia trzynastego na czternasty Grudnia na zamku w Poznaniu, była przygotowaną już dniem poprzedzającym.

Mina zrozpaczona oziębłością księcia, rozgniewana, odgrażając się zemstą jakąś, kilka razy wpadała do Lukierdy i napatrzywszy się na nią, płaczącą cicho, zdretniała, na pół oszalała cierpieniem, cofała się nie mogąc zdobyć na krok stanowczy.

Wieczorem wezwała do siebie Bertochę i poić ją zaczęła.

— Słuchajno — rzekła drżąc cała — trzeba raz z nią skończyć. Przysięgam ci, że on sam z jego własnych ust słyszała, że on sam mi powiedział: „Niech mnie od niej uwolnią!“ Tak! rozumiesz

ty, co to znaczy? Dwa razy mi to powtórzył...  
On chce, aby był koniec temu...

Bertocha, która prześladowała Lukierdę z zajądłością zwierzęcia, co szarpie stworzenie bezbronne — ociężała, wahająca się, gdy przychodziło do stanowczego ciosu — na zbrodnię nie miała dosyć odwagi.

Zamruczała, głowę pokręciła, ramionami poruszyła — obawiając się szalonej Miny, gotową była męczyć — ale zabić!! A tu niewątpliwie o morderstwo chodziło!

— Ona i tak lada dzień zdechnie — zamruczała popijając. — Ja się na tem znam. Nie jedną już taką widziałam! Gdy idzie do kościoła, ślania się jak pijana, tchu już nie ma, raz w raz chwyta się za piersi wysch'e — nie je, nie pije — ino wodę... W nocy rzuca się, jęczy i płacze.

— No, to po cóż dłużej ma męczyć nas i jego..  
Ja ci powiadam, on mówił sam, że chce aby go od niej uwolniono!

Bertocha krzywiła się, spuszczała oczy, z widoczną niechęcią słuchała tej rozmowy.

Mina dolewała jej ciepłego wina z korzeniami, biegła, rzucała się jak w gorące.

— Nie! to trzeba skończyć.. trzeba skończyć jak najprędzej!

Nachyliła się do ucha Bertochy i szeptała.

— Jak kureczkę ją zdusić łatwo! Zobaczysz..

bojnie za to nagrodzi! Ona mu już tu! Prosi, aby go od niej uwolnić!

Nikt w świecie wiedzieć nie będzie.. Chora była, umarła!

— Ty i ja.. nas dwóch dosyć — dodała z zajądłością Mina. — On kazał! kazał!

Bertocha podniosła oczy, wino ją czyniło mężniejszą.

— Weźmiemy po niej wszystko! Ja dla siebie nie chcę nic! Ma jeszcze dosyć klejnotów, które w skrzynce zamyka... są ciężkie łańcuchy... bierz ty.. bierz co tylko jest!

Niemce oczy coraz zaczynały gorzeć jaśnieje. Wstała.

— Dobrze to mówić — poczęła trochę ochry-  
plym głosem. — Ja wszystko wiem! Będzie kto  
słaby, konający, a jak przyjdzie duszy z ciała  
wychodzić — broni się okrutnie — ni jej podolać!  
Małe dziecko trudno udusić — a co dopiero nie-  
wiałę...

— Co? ona za małe dziecko siły nie ma —  
przerwała Mina. — Gdyby jej pod boki nie trzy-  
mali, do kościoła by się nie zawlekła.. przez izbę  
idąc chwytła się za ściany i ławy.

Bertocha wciąż niedowierzająco trzęsła głową.

— Ty myślisz — mruczała — z temi książęty  
dobra sprawa? Ja i to wiem. Powie, uwolnić mnie  
od niej, powie zabić, potem sam ręce umyje  
i końmi rozszarpać każe!

I to bywało! Co ich kosztuje słowo, albo ludzkie życie?

— Otoż ja lepiej go znam niż ty! — odburknęła Mina.

— Nieprawda — oparła się Bertocha. — Jeszcze o tobie tu słuchu nie było, kiedym ja go małym chłopcem знаła — i dobrze znała! Byłam ei i ja młodą!

Uśmiechnęła się znacząco.

— Ktoby im wierzył! zaklnie się na wszystko a potem... wiecie!!

Minę nie nastraszały te proroctwa. — Wrzała gniewem, pilno jej było... Powiedziała sobie, że dłużej już nie wytrwa. Inne sługi miała zjednane, gotowe były przyjść w pomoc, trzeba jej tylko było zyskać Bertochę, aby mieć w niej współuczestkę nie wroga.

— Wszystkie klejnoty twoje! — mówiła ścisnąc ją. — Mało ci tego. ze swoich dam! Ja z dziewczętami zrobię wszystko, ale ty musisz być ze mną!

Ona dziś ledwie chodzi, krzyczeć nie będzie, nie posłyszysz nikt, — zobaczysz.

Bertocha, która już z ławy powstała, jęcząc się na nią rzuciła.

— Nie chcę -- rób sama!

Niemka wina jej dodała...

— Pij no, pij — tchórz z ciebie — zawołała. —

Dziś z nią skończemy... Ty musisz! Ja mogę a żebyś ty nie chciała? On czeka na to, kazał, nagrodzi. Nikt słowa nie powie... Umarła i po wszystkim...

Piła zamyślona Bertocha, a po głowie się jej kręciły klejnoty i łańcuchy — i rozkaz księcia i zapewniona bezkarność łatwej zbrodni.

Ciągłe rozmowy o śmierci blizkiej, a nieuchronnej Lukierdy, uczyniły ją prawie obojętną na nią.

Mina czytając z niej, eoraz pewniejszą była swego. Wybiegła prędko podpatrzeć co robiła Lukierda.

Jak zwykle w izbie jej sypialnej jedna lampka płonęła przed obrazem, druga na stole. Mroki panowały po kątach. Szerokie łóżce z rozwartymi oponami jeszcze stało puste.

Księżna chwiejąc się chodziła po izbie ciemnej. Przyklękła raz przed obrazem Matki Boskiej, złożyła ręce, modlić się zaczęła i szlochała. Padła na ziemię, a gdy podnieść się chciała, musiała chwycić za ławę i z ciężkością wstać mogła.

Godzina już była, w której do snu szła zwykle, lecz z pójściem do łóża zwlekała. W niem sen ją nie brał, a jeśli skleił powieki, przerywały go marzenia. Zrywała się płakać, jęczeć, czasem zanucić i znowu paść na poduszki.

Mina do połowy drzwi rozwarła, rzuciła okiem



chciwem, śledziła każdy ruch pilnie, każdą oznakę znękania i osłabienia.

Widziała jak się za piersi chwytala, chwiała, słabła i spuściwszy głowę przypadła na ławie. Potem podniosła ją nieco, sparła na ścianie, dyssała ciężko, w gardle jej odzywało się coś jak chrypliwy głos konania.

Mina wpadła nazad do izby z rozpaloną twarzą. Po drodze coś szepnęła dziewczętom, które stały gromadą i czekały... Były to pospolite służebne, dziewczki silne jak parobcy, zuchwałe, życiem wśród dworu zepsute, a tego wieczora miodem przez Minę spojone.

Śmiały się i szydziły, czekając. Nic ich to nie obchodziło co z rozkazu starszych uczynić miały. —

Bertocha po kubkach drzemała i dumala, gdy niemka wróciła. Dotknęła ją ręką rozpaloną, namiętnie drżącą.

— Czekać trzeba aż się poloży — mrnczała.. wówczas.

Bertocha upojona skinęła głową potwierdzająco. Wmówiła już w siebie, że gdy Mina razem z nią iść miała, niebezpieczeństwa nie było. Dziewki mogły zrobić co trzeba, im dosyć było skinać na nie.

— Poduszki leżą przy łóżku na boku — wołała przerywanym głosem Mina. — Gdy się poloży, rzucim na nią, głosu nie wyda, znaku nie będzie.

Szeptaly już z sobą zgodne.

Bertocha, gdy raz na to przystała, także co rychlej skończyć chciała, uwolnić się od oczekiwania, które ją męczyło.

Mówiła sobie, że najpierwsza natychmiast pobieży do księcia i da mu znać, że chora pani — umarła...

Wstała chcąc iść.

— Czekaj — zatrzymała ją Mina — siedź tu — pójdę, zobaczę... Nie trzeba jej płoszyć. Niech się położy i zadrzemie. Tak będzie lepiej i łatwiej.

Powtórnie wybiegła Mina i przysunęła się do drzwi.

Lukierda chodziła znowu, nuciła coś półgłosem, ślaniała się jak wprzód, chwytła za piersi i głowę.

Wysłała do niej jedną z dziewcząt, aby jej godzinę snu przypomniła.

Śmiało weszła nawykła do obchodzenia się z księżną bez względu na jej dostojność i chorobę jedna z najzuchwalszych służebnych.

Stała zakładając ręce na piersiach.

— Czas wam spać! — odezwała się. — Lukierda spojrzała na nią bez odpowiedzi.

— Czas iść spać! — powtórzyła — a to my dla was na nogach być musimy! No — czas spać! — zawołała raz jeszcze głos podnosząc i szydząc.

Księżna nic nie odpowiadała. Chodziła powoli,

przywykłą była do takiego sług znęcania się. Odrętwiała już na nie.

Kilka razy powtórzywszy coraz zuchwalej to napomnienie, dziewczka przystąpiła do księżnej. za rękę ją ujęła i niemogącą się obronić powlokła do łóża.

Lukierda osłabła usiadła na niem, lecz w tejże chwili wstała prędko nastraszoną i przechadzać się zaczęła.

Drugi raz sprobowała dziewczyna za rękę ją ująć. Siłą jakąś gorączkową wyrwała się jej księżna, popatrzyła ze wzgardą i odeszła w drugi koniec izby. Mina przyglądając się temu z za drzwi przemkniętych zżymała.

Dziewczyna odeszła pomrukując Szeptaly wszystkie stojąc pode drzwiami — głosy ich dochodziły księżnę, ale to było powszednie z niej i jej nieszczęścia urągowisko. Łzy się rzuciły z oczów, płakać zaczęła.

Mina dała im znak. Wiedziała że po takim płaczu gwałtownym sen ją brał zawsze osłabłą.

Lecz Lukierda zamiast iść do łóża, wcisnęła się w róg izby, i oparłszy o ścianę oczy zamknęła. Godzina była późna w nocy.

Mina i Bertocha czekały, kazawszy sobie dać znać, aż księżna sama się położy.

Czekały napróżno.

Kury piałły już drugie, Lukierda drzemała

oparta o ścianę, dziewczęta patrzyły przez szpary niecierpliwie się i przeklinając.

Mina chodziła po swej izbie, teraz już potrzebując hamować Bertochę, która wyrywała się iść i kończyć... Była w pół pijana.

— Kiedy kończyć to kończyć! — powtarzała — chodźmy! Zabijemy ją jak muchę.

Było po północy, gdy jedna z dziewcząt przybiegła dając znać, że Lukierda poszła do łóża.

Zerwały się obie kobiety lecąc pędem. U progu coraz ciszej stapały, dziewczkom nakazując milczenie.

Otworzy drzwi, na palcach weszła cała gromada.

Już się podsuwały pod łóżę, gdy nagle Lukierda, jakby miała przeczucie napaści, siadła na łóżu. W mroku ujrzała tę gromadę zbliżającą się w milczeniu i wydała krzyk przeraźliwy, rozdzierający, który rozległ się wśród nocnej ciszy.

Mina struchlała, nie chciała wierzyć uszom aby ten głos tak silny, który mógł ludzi na zamku pobudzić, wyszedł z piersi wyschłej i osłabłej.

Księżna drżąc oczyma strasznie patrzyła na nie, ręce jej wyciągnięte jak do odepchnięcia napaści skołowaciały w konwulsyjnym ruchu.

Była to nie już przed chwilą dogorywająca, schorowana niewiasta, ale istota broniąca życia swego sił ostatkiem...

Mina zawahawszy się chwilę, ogarnięta wściekłością jakąś, pierwsza się rzuciła na nią. W tej chwili Lukierda z łóża wyskoczyła na izbę, bie-

gła ku drzwiom, od których dziewczki zastępowały, odpychając ją, nie puszczając.

Księżna poskoczyła ku oknu z szybkością, która zdumiała kobiety, co ją niedawno ledwie poruszać się mogącą widziały. I tu znalazła już rozpostarte ręce, co jej ucieczkę zapierały.

Mina opamiętawszy się jak szalona pędziła za nią. Bertocha stała jeszcze przerażona, gdy za niemką rzuciły się służebne i waląc się wszystkie na krzyzącą i opierającą Lukierdę, pociągnęły ją za sobą na łożo.

Mina ogromną poduszkę, którą miała już przygotowaną narzuciła jej na głowę i rozpaczliwy krzyk stłumiła.

Widać było konwulsyjnę poruszające się ciało biednej męczennicy, potem ręce i nogi wyciągnięte straszliwie skostniały, zdrewniały i bezsilne opadły.

Niemka dusiła z całych sił, a dwoje dziewcząt z zajądlnością jej dopomagało.

Krzyki i szamotanie się ustały, nastąpiła cisza złowroga. Bertocha z obawą przystąpiła spoglądając na łożo, ale twarzy księżnej widzieć nie mogła, bo poduszki okrywały głowę, a palce Miny jak szpony wciśnięte w nie, dusiły jeszcze już zaduszoną.

Twarz mściwej dziewczki była dzikim szaleństwem jakimś zmienioną, zęby ściśnięte zdały się chcieć pożerać ofiarę... Nie mogła czy nie śmiała jej puścić, aż sił zabrakło i Mina znużona pochyliła

się, padając na podłogę. Bertocha odgarnęła poduszki. Z twarzą na której wypiętnowały się męczarnie zgonu, z oczyma krwią zabiegłymi i już zeszklonemi, leżał siny trup Lukierydy.

Widokiem jego Bertocha się wytrzeźwiła. Strach jakiś ogarnął wszystkie niewiasty.

Mina tylko podniósłszy się z ziemi, obłąkana rwać zaczęła trupa i układać, aby na nim śladu gwałtownej śmierci nie było. Lecz już się on nie dawał zetrzeć.

Dziewki i dwie mordy sprawczynie stały jeszcze nad łóżem, a poduszka obok leżąca zgnieciona i zmięta świadczyła o tem, co się tu przed chwilą dokonało, gdy drzwi się otwarły i z lampką w ręku wpadł książe.

Krzyki doszły uszów jego — szedł przeczuwając coś, przelękł, a dość mu było okiem rzucić na twarz Miny, na łóżę, na dziewczki jeszcze po walce drżące nią, z włosami potarganemi, aby całą straszną prawdę odgadnąć.

Książe przyskoczył do łóża i stanął przy niem zbladły jak trup, oczyma błędnymi rzucając do koła. Mina wlepiła w niego wejrzenie zwycięskie jakiegoś, oszalałego — nie uciekała ani się zapierała.

Przemysław nie mógł przemówić, dyszał wzruszony, zdjęty oburzeniem i grozą. — Oczy jego z trupa obróciły się na kata.

— Masz czego chciałeś! — zawołała Niemka

— powiedziałeś sam — Uwolnicie mnie od tego trupa... Spełnilam rozkazanie twoje. Tyś rzekl...

I wskazała nań palcem zuchwale. Książę posłyszawszy to chwycił nóż, który miał u pasa, podniósł go i cisnął nim na Minę. Oczy jego płonęły... usta się trzęsły...

Niemka chciała go wyzywać jeszcze, lecz strach ją ogarnął nagle, z krzykiem rzuciła się do drzwi. Przemysław gnał ją podniósłszy rękę do progu, tu wysiłony padł na ławę, ręce bezsilne obwisły.

Dziewki i Bertocha stały jeszcze do koła łoża.

Książę nie patrząc na nie, nie rzekłszy słowa, rzucił okiem przestraszonym ku łożu i nie mogąc znieść widoku, wysunął się z izby, z podsienia, wyszedł na chłód zimowy — stanął wryty.

Tu go spartego o słup zastał czuwający ks. Teodoryk, który czatował zawsze nań, śledząc każdy krok jego.

Słabym głosem, chwytając go za rękę, książę się odezwał.

— Lukierda — nie żyje! Ojciec — popełniono zbrodnię — zabójstwo... Jam niewinien! Jam niewinien!

Teodoryk podniósł oczy ku niemu.

— Któżby śmiał Was obwiniać, — rzekł drżący — Wy sami nie dawajcie pozorów... Idźcie spokojnie do mieszkania — mnie zostawcie staranie wszelkie.

To mówiąc Lektor ujął go za rękę i popro-



wadził do sypialni, sam zaś natychmiast — poszedł do sypialni królowej.

Zastał tu je cze wszystko jak było przed chwilą. Bertoch... tylko usiadła na ziemi, nie mogąc się już na nogach utrzymać. — Dziewki cisnęły się do kątów i popadały na ławach. Trup leżał pokurczony, zastygły, siny i błady...

Łoże poszarpane, poduszki zmięte i podarte, na jednej z nich płania krwi świeża świadczyły o popełnionej zbrodni.

Ks. Teodoryk stanąwszy u łóża, choć jako duchowny, codzień się niemal z widokiem śmierci spotykał, zdrętwiał ze strachu i oburzenia. Łża mu się zakręciła w oku, ale nie czas było boleć, należało pana ocalić i dom książęcy od poszlaku zbrodni oczyścić.

Ksiądz natychmiast rozkazał Bertosze i sługom przyodziewać zwłoki i ułożyć je tak, ażeby śladów gwałtu na nich nie było.

Wszystkie one co na żywą nie lękały się rzucić, teraz zmarłej dotykać się bały — lecz ks. Teodoryk znalazł w sobie dość siły, aby nakazać posłuszeństwo.

Głos jego, suknia, trwoga, która ogarnęła służebne, zmusiły je, iż przystąpiły do zwłok a Bertocha pierwsza poczęła ręce wyciągać, składać i powieki zamykać.

Do drzwi doszedłszy zawołał ks. Teodoryk na komorników, który się pobudziło i u progu postawił ich na straży, jednego wysłał do kościoła.



Uderzono w wielki dzwon za umarłych.

Na całym zamku, w którym już wprzód poruszenie jakieś czuć się dawało — odgłos ten dzwonu, bieganie czeladzi — rozbudziły śpiących. Kto żył wybiegał, rozpytywano się, skupiano.

— Księżna umarła! — wołali jedni.

— Księżnę uduszono — szeptali drudzy.

Oskarżano Minę jawnie, bo widzieli strażnicy wybiegającą z mieszkania księżnej i jak szaloną kołującą po podwórzach.

Z dziewcząt, które do mordu nie należały, wiele o nim wiedziało, inne pode drzwiami przypatrywały się, gdy go spełniano.

Rozniosło się opowiadanie o nim po zamku, po mieście. Z nocy stał się dzień i trwoga jakaś padła na ludzi. Gromady ludu zbierały się na podwalach, cisnęły do wrót, krzyki, jęki i odgrzania słyhać było.

Minę, gdyby się na onczas pokazała, rozszarpałoby może pospólstwo, ją za główną uważając sprawczynię.

Imi głośno obwiniali samego księcia. Dzwony żałobne wtórowały temu wrzaskowi tłumy. Bramy zamku musiano podwójną strażą ostawić.

Wewnątrz kasztelan Tomisław, choć nie miał wydanych rozkazów, usłyszawszy o mord obwiniających Minę, — posłał szukać jej.

Ludzie wpadli do mieszkania, które zajmowała, znaleźli w niem nieład, skrzynie pootwierane,

suknie porozrzucane, lampkę płonącą jeszcze, ale jej nigdzie ni śladu. Mówiono, że wprost od trupa skoczyła na konia, wrota sobie kazała otworzyć, i nim w zamku się poruszono, uszła. Ścigać ją nie śmiał Kasztelan.

Ks. Teodoryk sam zajmował się przygotowaniem do pogrzebu tak, aby z dniem nadchodzącym ciało wystawionem być mogło i przeniesione do kościoła. — On o wszystkim pamiętać i rozporządzać się musiał, bo książę siedział niemy, przybity i na pytania nie odpowiadał.

Z miasta od jednego z tych cieślów, którzy się zajmowali wyrabianiem trumien, jakie naonczas nazywano, wydrażanych w jednej sztuce dębowego drzewa i wiekiem pokrywanych; sprowadzono taką kłodę dębową, i pokryto ją suknem szkarlatnem. —

Te co zamordowały księżnę, zmuszone były same ją odziać i włożyć do trumny. Ks. Teodoryk najwspanialsze kazał wydobyć szaty, ale gdy tych szukać przyszło, okazało się, iż księżna ich nie miała, że i one i klejnoty, opony i wszystkie bogactwa Mina sobie przywłaszczyła.

Z tamtąd więc musiano je przynosić, choć nie całą już grabież znaleziono.

Długa noc Grudniowa zbiegła na tych przyborach do pogrzebu, których ks. Teodoryk nie odstępował. Nad ranem leżała już Lnkierda w trumnie, w szatach książęcych, a dokola stały

pozapalane ogromne pochodnie i duchowieństwo z katedry otaczało katafalk, śpiewając modlitwy za umarłych.

Pomimo starań, aby lice jej, które pobielono nie zdradzało tajemnicy straszliwej nocy, wyraz twarzy napiętnowany był nie spokojem konania, ale męczarnią. Dla nikogo nie było wątpliwem, że nieszczęśliwa Lukierda padła ofiarą jakiegś zbrodni, której przyczyn szukano wysoko.

Szemrano przeciwko księciu.

Przemysław całą noc tę straszną przesiedział w izbie swej, nie słysząc co mu donoszono, nie rozumiejąc co mówiono do niego.

Chociaż nie czuł się winnym tej zbrodni — miał ją jednak na sumieniu. Niebaczny wyraz jeden wyrzeczony w chwili zniecierpliwienia, niemka mu rzuciła w oczy jak policzek! Obwiniła jego o śmierć królowej!

Nad rankiem jakby ocknąwszy się Przemysław, kazał Kasztelana przywołać do siebie.

— Gdzie jest niemka, Mina? — zawołał. — Jeśli znajdziecie ją, uwięzić.. jeśli zbiegła, szukać.. Jam nie winien tej śmierci! jam nie winien!

Powtarzał te wyrazy, któremi więcej się obwiniał niż oczyszczał, nie bacząc jakie czyniły wrażenie. Kasztelan natychmiast rozesłał pogonie, ale przewidzieć było można zawczasu, iż zręczna a śmiała niemka, dla której mężką odzież łatwo

wdziać było, która miała przyjaciół i zauszników, łatwo mogła ujść ścigającym.

Blady dzień zimowy wstał nareście nad zamkiem, we wszystkich kościołach bito we dzwony. Pomimo Grudniowego chłodu, lud, który się u wrót gromadził, nie ustępował, a gdy je nareście otworzyć musiano — wlał się cały na podwórcę i do kościoła.

Ciało Lukierdy jeszcze w sypialni na marach leżało. Od księcia przysły rozkazy, aby pogrzeb uczynić jak najwspanialszym. Przemysław nie ukazywał się jeszcze. Na tem samem miejscu, na które padł powróciwszy — siedział nie mogąc się poruszyć, drżący, zziębły — obłąkany.

Takim znalazł go ks. Teodoryk, który gdy wszystkie przygotowania ukończone były, pomyślał nareście o Panu.

— Miłościwy książę — odezwał się — męskie serce przystało mieć i w najcięższych razach.

Przemysław oczy podniósł.

— Obwiniają mnie? — zapytał — prawda? mnie winią? mów! Palcami wytykać mnie będą jako zabójcę? Jam nie winien! Ta niepocziwa niewiasta dopuściła się zbrodni... Jeśli ją pochwycę, kołem bić i końmi rozszarpać każę!!

Ojciec mój! jam nie winien!

Ks. Teodoryk milczał głowę spuściwszy.

— Ale któż uwierzy w niewinność moją? — począł książę. — Nie żyłem z nią., była bezpo-

tomną, powiedzą żem ja chciał pozbyć się chorej, wstrętliwej niewiasty...

Ojciec.. mów!

Patrzal trwożnie.

— Jam ani słuchał co mówić mogą, anim się chciał dowiadywać — rzekł ks. Teodoryk spokojnie. — Pospólstwo może pleść potwarze, ale cóż gawiedzi głosy wążą?

A po chwili dodał.

— Miłościwy panie, aby usta zamknąć ludziom, potrzeba iść do kościoła. Musicie być na pogrzebie przytomni.

Przemysław jakby nie słysząc, rzekł żywo:

— Niech będzie wspaniały pogrzeb, najwspanialszy... Niech trwa nabożeństwo... Proście Biskupa.. mówcie duchownym, niech się modlą za nią!

— Duchowieństwo ze wszystkich kościołów i klasztorów już zwołane — rzekł uspokajając Teodoryk.

Przemysław kazał sobie podać szaty uroczyste — ubierał się a raczej dawał się odziewać drżąc jeszcze... Gdy wychodzić przyszło, rzucił się na ławę beczsilny.

Ks. Teodoryk widząc go osłabłym, winą przynieść kazał i zmusił go do wypicia pół kubka. Jadło przyniesione odepchnął.

Nim wyszedł książę, wydał rozkaz jeszcze, aby

całą służbę żeńską zamkową, natychmiast precz wyżeniono.

Ks. Teodoryk uczynił uwagę, czy nie lepiej je było zatrzymać pod strażą, aby bezkarnością nie dać powodu do obmowy.

Nie odpowiadając mu książę dał znak tylko, aby postąpił jak sam zechce. Lektor rządził tu teraz wszystkim, rozkazy wydawał, nikt mu się nie śmiał sprzeciwiać.

W biały dzień już wzięli komornicy trumnę na barki, którą ledwie dwunastu ich mogło podźwignąć i wraz z duchowieństwem, zanieśli do kościoła.

Trumna odkrytą była, ale nicsiona górą, zwłok dojrzeć nie dozwalała.

Komnaty Lukierdy stały teraz puste i na oścież otwarte.

Bertocha leżała w gorączce, dziewczki pod straż oddano.

We dworze panowało zamięszanie i trwoga. Księżna obudzała litość u wielu świadków swego losu, która się teraz w oburzenie zmieniła przeciwko mordercom. Powieści o tej strasznej nocy z ust dziewcząt pochwywane, chodziły z ust do ust coraz powiększane i barwione.

Przemysław we wszystkich niemal budził wstręt i trwogę jako bezlitośny okrutnik. Mogło się to stać bez jego wiedzy?

Niewielu starało się napróżno dowodzić, że

księżna zmarła śmiercią, dawno już przewidywaną — nikt im nie wierzył. Byli ludzie co krzyki słyszeli. Mina uciekła, dziewczęta plotły.. i oskarżały wszystkich, aby siebie oczyścić.

Było już blisko południe, gdy książę odziany żalobnie, w towarzystwie ks. Teodoryka, mając u boku kasztelana Tomisława, wyszedł z izb swoich do kościoła. Podwórze pełne było ludzi.

Zaczęto mrnczeć — Idzie! i oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. — Gdyby nikt i nie go nie obwiniąło, samo oblicze nagle zbladłe, błędny wzrok, wyraz trwogi, wstydu jakiegoś, upokorzenia, które się przez przybraną przebijalo dumę, wskazałoby go jako winowajcę.

Ludzie zdala patrzali milczący i mówili w duszy.

— On ją zabił!!

Chciał iść krokiem bezpiecznym i śmiałym, lecz plątały mu się nogi, na skroń występował pot kroplisty, paliły go tych wejrzeń tysiące, które czuł, że nań padaly jak kamienie. Rad był pośpiechem skrócić nie długą drogę do kościoła, która mu się wiekuistą wydawała — nieskończoną.

Ks. Teodoryk hamował kroki jego. Stąpać musieli powoli wśród tego milczącego tłumy — wprost idąc na światła palące się u trumny — w której Przemysław nie widząc jej — oglądał trupa oczyma duszy, takim, jakim go widział w chwilę po zgonie.

Mimowolnie na myśl mu przyszło, jak na ten

zamek wjeżdżali po raz pierwszy, jak ona drżąca, blada, szła klęknąć u tego ołtarza, przed którym teraz leżała bezduszna.

Nim Przemysław doszedł do drzwi kościelnych, z których coraz głośniej rozlegał się płaczliwy śpiew księży, wszystkie siły jego się wyczerpały, musiano go w progu podtrzymać, aby nie padł. Chciał tu stanąć, wiedziono go dalej, dalej aż pod samą tę trumnę na podwyższenie, z którego twarz jej miał ujrzeć.

Gdy nareście wstąpił na stopnie siedzenia i rzucił okiem na blade lice — zdało mu się, że usłyszał głos wychodzący z ust zamkniętych:

— Przebaczam ci — lecz Bóg...

A z głębi kościoła przynosił mu szmer tłumy słowa Zaręby:

— Karan będziesz śmiercią gwałtowną, jaką poniosła ona...

---



#### IV.

Pogrzeb księżnej jeszcze się nie dokonał, ciało właśnie do grobów spuszczać miano, gdy na zamek wieść przyniesiono, że mianowany przez Papieża Arcybiskupem Guieźnieńskim Świnka przybywa.

Wiadomość ta jedna może mogła na chwilę odciągnąć myśl Przemysława od tej trumny i od krwawych wspomnień strasznej nocy. —

Wybór ani szczęśliwszy, ani pożądanwszy żaden nie mógł być dla księcia — ale razem mniej spodziewany.

W człowieku tym, którego rycerzem pamiętał, któż mógł odgadnąć przyszłą głowę kościoła polskiego.

Przemysław uradował się razem i zasmucił, gdy mu o tem znać dano. — Potrzebaż było, aby

ten mąż, na którego on miłość i poszanowanie chciał zasłużyć, przybywał właśnie w tej chwili, kiedy jego o zbrodnię głos ludu obwiniął.

W czasie ostatnich modlitw, gdy zwłoki pokryte wickiem miano spuszczać do podziemia, książę postrzegł naprzeciw siebie w stallach tego, który po długim niewidzeniu zjawiał mu się w najcięższej życia godzinie.

Świnka oczyma badającemi, groźnemi niemal, smutnemi razem patrzył na niego. Była w tem wejrzeniu i litość i oburzenie, i wielka wyższość sędziego, który po nad winowajcą stoi.

Przemysław spuścić musiał wzrok, na piersiach jak kamień ciężył mu ból niewysłowiony.

Stał przed tym pasterzem jak obwiniony, który się nigdy nie potrafi oczyścić. On sam mówił się niewinnym, czuł winowajcą. —

Wszelkie usiłowania czynione, aby sprawczyńę mordu pochwycić — były bezskuteczne. Pogonie na trop jej wpadły, wszła tam, gdzie pewną bezkarność była, do Margrabiów Brandeburskich, na dwór któregoś z Ottonów, u których powinowatych miała. Tam dosięgnąć ją nie było sposobu.

Wieczorem po pogrzebie, który wspaniałością przeszedł wszystkie, jakie tu ludzie zapamiętali, na zamku dla duchowieństwa zastawioną była stypa, chleb żałobny, którego obyczaj u nas, od czasów pogańskich się utrzymał.

Natłok był wielki, gdyż spodziewano się, że

Przemysław choć na chwilę przy stołach się ukazał. Omylono się wszakże, książę wprost z kościoła przejściem bocznem, niepostrzeżony udał się do komnat swoich, do których Świnkę i Biskupa Jana prosić kazał.

Dni walki z samym sobą jeśli go nie uspokoiły, to przynajmniej panem siebie uczyniły.

Posępna twarz mniej zdradzała zgryzoty sumienia i niepokój ducha. Męczarnię człowieka pokrywał dumą książęcą. —

Ks. Teodoryk z podziwieniem patrzył na tę moc jego nad sobą.

Gdy Świnka wszedł, Przemysław wstał witając go z głębokiem poszanowaniem, badał go oczyma lękając się znaleźć zbyt surowym. Nominat oblicze miał spokojne, ale sędziowskie.

Łatwo się było domyśleć, że głos publiczny doszedł już do niego.

Książę począł wypowiadając radość wielką z mianowania Arcy-Pasterza.

— Tęskniłem dawno zatem, abyśmy Ojca duchownego mieli, alem się nie śmiał spodziewać tak szczęśliwego dla nas wyboru. Nie umiem wyrazić, jak mnie on w mojem strapieniu ciężkiem, wielce rozradował i pocieszył.

Witaj nam, pożądanym Pasterzu nasz!

Biskup Jan, mąż poważny, nie pospolitego umysłu a żywego, mimo wieku, temperamentu, — dodał, iż sam Bóg zsyłał im takiego wodza.

— Z nas duchownych starych, tutecznych — rzekł — cośmy znani i stosunkami związani, żaden tego co wy nie potrafi... Was nic nie osłabia i nie krępuje. Bóg niech będzie błogosławiony.

— Ja mówię tn, com mówił, gdy mi to brzemię kładzono — odczwał się Świnka. — Niech się stanie Wola Twa Panie, gdy kielicha tego odemnie odwrócić nie chcesz.

Kancelarz Wincenty wtrącił coś o swej podróży, Biskup o chwili smutnej, w której przyszły Pasterz przybywał, jakby panu niosąc potrzebną pociechę.

Wszyscy, oprócz samego Nominata, nalegać zaczęli, aby czasu nie tracąc natychmiast przybywającego wyświęcić. Świnka się temu nie sprzeciwiał.

Ks. Jan Biskup Poznański oznajmiał, iż Tomasz Wrocławski, Gosław Plocki i Wolmir Lubuski biskupi byli już zawiadomieni przez wysłanych spieszonych gońców, aby się natychmiast do Kalisza stawili.

— A ja wam tam też towarzyszyć będę — rzekł Przemysław — abym pierwszy powitał Głowę kościoła naszego i odebrał błogosławieństwo...

— A na gody — dodał wesoło ks. Jan — Gniezno się już pocieszyć będzie mogło w ścianach swych witając Pasterza.

Świnka w czasie tych wynurzeń siedział wparzony w księcia, który wzroku jego wytrzymać nie

mogąc, oczy odwracał. Rozmowa stała się powszechną, trwała dosyć długo, a gdy w końcu Biskup Jan poruszył się do wyjścia, książę Świnkę słowem zatrzymał jeszcze u siebie.

Zostali sami. Przemysław namyślał się długo nim rozpoczął poufną rozmowę, której pożądał.

— Ojciec mój — odezwał się — nigdyście mi bardziej upragnionemi przybyć nie mogli, ale nigdy boleśniej by mi nie było stawać przed wami. Wiem to i czuję, że patrzycie na mnie, jak na obwinionego, grzechem ciężkim skalanego człowieka.

— Grzech jest spadkiem wszystkich ludzi po pierwszych rodzicach — odparł się Świnka — ale po Chrystusie skrucę powinniśmy dziedziczyć.

— Grzech, jeżeli jakiś ciąży na mnie — dodał książę żywo — nie tak wielki jest, jaki ludzie zlikładną na mnie. . Wiecie pewnie, ojciec, oni mi przypisują...

Tu mu prawie zabrakło głosu i krew twarz oblala.

— Przypisują mi — rzekł — śmierć żony... Nie jestem jej winnym. Nie nakazywałem, nie pożądałem jej nawet, choć mozem się mimo woli przyczynił do tego co się stało... Tak, ojciec, przed tobą nie chcę mieć tajemnic — zmarła śmiercią gwałtowną, z rąk domowników — główna sprawczyni mordu uszła i ukarać jej nie mogłem.

Winnym jestem i niewinnym.

Uderzył się w piersi.

— Chciałem ię z tego wyświadczyć przed wami...

Świnka słuchał zasmucony i milczący.

— Kajać się trzeba — rzekł — aby Boga przebłagać.

Jżeli choć cień grzechu czujecie na sobie, obmyjcie go.

— Jam gotów do pokuty, do ofiar! — zawołał książę — bylebym przebłagał mściwą rękę Bożą. Ale jakże zetrzeć potrafię z siebie plamę w oczach ludzi? jak się oczyścić przed nimi?

Tu zatrzymał się chwilę i począł powoli.

— Wiecie, ojcze mój, żem po stryju Pobożnym wziął w spadku nie tylko ziemię jego ale myśl, którą on przez cały żywot swój karmił. Chciałem Chrobrego koronie blask dawny przywrócić. Jakże ją włożyć na skr.ń, na której ludzic krew niewinną widzą?

Załamał ręce.

— Uspokój się książę — odparł Świnka. — Co kościół może dla uspokojenia Was i pokrzepienia, to uczyni. Wielkie posłannictwo twoje... Obok niego wszystko małem. Lecz czystym być Wam potrzeba... w sumieniu.

To mówiąc powstał.

— Pokutujcie — dokończył — my się za was modlić będziemy.

Przemysław przystąpił doń i ze łzami ścisnąć go zaczął.

— Ojcie! — zawołał — ratuj mnie od samego siebie! W opiekę ci się oddaję... Nieszczęśliwy jestem nad słowo wszelkie.

Cichym szeptem skończyła się rozmowa, z której Świnka wyszedł poruszony, zadumany i smutny.

Wprędce następujące uroczyste wyświęcenie Arcybiskupa, na które już następnego dnia do Kalisza wybierać się było potrzeba, nie dało księciu w samotności dręczyć się myślami, które gdy sam pozostał, trapiły go strasznie. Z wielkim i wspa-  
niałym dworem towarzyszył Świnie do Kalisza, gdzie znaleźli już oczekujących na nich Biskupów.

Nie wszyscy może oni, równie z ks. Janem Poznańskim radzi byli wyborowi wodza nowego. Doszła już do nich wiadomość o nim, znano go z energii i rozumu. Miał to być Wódz i Głowa nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, nie dającą się powodować nikomu.

Z pewną obawą spoglądano na tę postać rycerską, poważną, która wrażała obawę, zdając się jakby z miedzi wykutą...

Gdy wyświęcony Arcybiskup, któremu Przemysław ofiarował drogoceany pierścień, raz pierwszy od ołtarza stanął błogosławić ludowi zebranemu — w tym przeobrażonym łaską Arcykapłanie, ujrzeli wszyscy i poczuli wodza, który potęgę swą znał i siłę.

— Ten — mówili cicho duchowni — nie ulęknie się nikogo.

Na zamku kaliskim, w którym Przemysław duchowieństwo przyjmował, Kasztelanem był postawiony od niedawna Sędziwój, syn dawnego Wojewody Poznańskiego Jana, mąż, który na dworze Przemysława i z nim prawie zrosł razem, zdolny, śmiały, lecz opryskliwy i dumny.

Mimo tego stanowiska, jakie zajmował, mówili ludzie, iż upokorzonym się czuł, było mu go za mało i przeciw księcin niechęć żywił.

Sądził pewnie, iż po ojcu swym, Województwo Poznańskie weźmie w spadku.

Przed przybyciem księcia i duchowieństwa na dni parę, Sędziwój, nie bardzo rad zapowiedzianemu zjazdowi, przy którym on, co tu panował, podrzędne miał stanowisko — rozporządzał właśnie gotując się na umieszczenie gości, gdy od wrót postrzegł idącego ku sobie pieszo, dobrze znanego Zarębę.

Wiedział dobrze co go spotkało, i że on jeździł po swoich, podburzając tajemnie powinowatych i Nalęczów przeciwko księciu.

Za młodą Zarębą z Sędziwojem byli w zażyłości wielkiej. Oba charakterów podobnych, tem się tylko różnili może od siebie, iż Zaręba nie krył się nigdy z tem co myślał i wybuchał otwarcie, a Kasztelan skrytym był i umiał się za takiego podać, jakim mu być było potrzeba.



Z dawnych czasów wiedział to Zareba iż Sędziwój za białego miał do księcia. Choć płaszczył się przed nim dla lańki. Temi pokłony i pochlebstwy doszedł do tego, że mu królewski zamek zdano. Tego mu było za mało.

Wojewoda w Poznaniu i u boku księcia chciał być, aby nim zawładnąć... a to mu się nie powiodło.

Przy pozorze rubasznym, Sędziwój skryty był i zręczny, a całkiem się nigdy nie zwierzał nikomu.

Zdziwilo go, iż wywołany Zareba jawny wróg księcia, śmiał mu się tu stawiać w ciwilu, gdy właśnie gotował się na przyjęcie jego.

Nie na rękę mu to było — szedł wszakże, iż może ukorzeny i żalujący porwyweźności swej, chce przez niego prosić o przebaczenie.

Zareba tylko jednym krokiem zbliżał się ku niemu, z dawną poufalością, dając już nie właściwą, bo jeden był teraz u góry, a drugi spodłizło.

— Niezaprzecie są mi nieprzebiegi, w niedoli mej — odczuwał się przybywający.

— Dziwić się muszę — odparł Sędziwój — iż macie odwagę mnie młodnika z książęcego ramienia i służącego, do dawnej wyższości przyjaźni... Głosząc cię wzywać wrogiem naszego pana.

— I jestem nim — rzekł głośno Zareba — Wy, panie kasztelanie — dodał kładące pryncisk na tytuł — nie bądźcie zbyt dumni z łaski jaką macie u pana! Co mnie spotkało wczoraj, wam

się jutro może przygodzić. Potem i taki wywołaniec jak ja, zda się — —

— Dość tego, w podwórzu — zamruczał Sędziwój. — Szczęście, że was tu nikt nie zna, chodźcie do izby za mną.

— A no! nie uwięzicie mnie przecie! — rozśmiał się śmiały Michno.

— Póki nie muszę, nie zrobię tego — rzekł Kasztelan.

Szli do zabudowania oba, jakoś nie ochoczo.

Kasztelan na zamku zajmował izby przednie po ks. Bolesławie, ale właśnie z nich dla księcia i gości ustępować musiał. — Powiódł więc Zarębę do komory, w której nieład panował, bo do niej zrzucono ruchomości jego własne — nie mając ich czasu ustawić.

Spojrzawszy na Zarębę, który opalił się srodze, schudł i twarz miał pofałdowaną namiętnością, jaka w nim wrzała — Sędziwój uśmiechnął się litościwie

— Cóż? — spytał — nie sprzykrzyło ci się jeszcze jak lisowi przez psy gnancemu wymykać? Chcesz przebłagać pana?

— Kto? ja? przebłagać? jego? — wybuchnął Zaręba. — Ja? Toś zgadł! Tak ci ty go kochasz i znasz jako i ja., choć niby on łaskaw na cię a ty na niego. Starzyśmy towarzysze, nie kłamiż przed sobą, bo to na nie. Ja nie myślę kryć

co w głowie mam, a do ciebie nie przychodzę prosić o wstawiennictwo — ale cię buntować.

— Toś bardzo źle padł — odrzekł zimno Kasztelan. — Jam nie dla was.

— A któż to wie? — poufale się rozsiadając ciągnął Zaręba dalej. — Pogadajmyno, po staremu.

Sędziwój ciekawy być musiał, nie zamknął mu ust, czekał...

— Książę ciebie nie bardzo lubi — mówił Michno — to wszystkim wiadoma rzecz i tobie. Dał ci zbywając się kasztelanją dla pamięci ojca twego i żeś mu się nisko kłaniał. O Województwie ci się śni — ale nadaremnie. Ty go nie dostaniesz.

Zresztą, co tu wodę warzyć? Przemysław wasz na swem księztwie się nie ostoї. Ziemianie go wyżeną. Zbójcą jest żony własnej, wszetecznikiem, a tyranem chce być nad nami. Brandeburgi na niego zęby ostrzą, Ślązacy go nie cierpią i zabierają co ma, Pomorza nie doczeka.. Śni mu się korona, będzie ją miał w piekle u Lucypera!

— Milczże! — ponuro przerwał Sędziwój.

— Dla czego mam milczeć? — odparł Zaręba. Słuchaj czy nie, ja mówić muszę... Gdybyś rozum miał, a muic posłuchał, wyżej byś poszedł niż jesteś...

Kasztelan przerwał znowu niecierpliwie.

— Bzdurstwa pleciesz!

— Sądz jak chcesz! Ja jadę z Wrocławia od ks. Heuryka. Kazano mi cię wymacać!

Przelekły i zdziwiony Sędziwój się rzucił.

— Mileżcie ty mi ze swoim księciem. Ja was obn znać nie chcę. Jeśli mi dłużej takie pleść będziesz — niecuoty — kto ci ręczy, że chwycić nie każę?

Zaręba się rozśmiał.

— Nie każesz chwycić i nie wydasz! — zawołał. — Ja cię znam. U ciebie to we środku, co u mnie na wierzchu. Nie zmuszam cię do niczego, aleśmy towarzysze starzy, dobrze ci życzę. Trzeba się na dwie strony oglądać. Kto wie co będzie.

— A tyś to się oglądał gdyś w tę kaszę wlażł, w której siedzisz? — odparł Sędziwój.

— Okaże się to później — rzekł Zaręba — teraz mówmy jak na starych towarzyszków przystało, choć ty jesteś Kasztelanem a ja włóczęgą. Mówię ci na prawdę. Ks. Henryk Wrocławski radby się z tobą bliżej poznał. Zjedź kiedy do niego... może się to wam na co przyda...

Sędziwój rzucił nań oczyma badającymi.

— Ależ — cicho! szepnął znięszany. Zaręba dał mu znak oczyma.

— Słuchaj — dodał — księciu twojemu nie pomoże nic, musi on paść. Jutro, za rok, dwa, ja niewiem, choćby się i królem ogłosił, nie minie go to. Gdy go ukoronują, czego mu się chce, tem ci prędzej padnie.

Ziemiańie wiedzą co król znaczy. Teraz niemi

poniata książęciem będąc, potem na karki wsiedzieć.

Mówiąc to Zaręba ciągle na Sędziwoja spoglądał, badając skutku swej mowy. Kasztelan nie pokazywał po sobie nic, oprócz niepokoju i zniecierpliwienia.

Michno zmienił nieco mowę.

— Za długoletnie służby wasze, nie możecie się wielkimi łaskami Przemysława pochwalić — rzekł — Bolesław Pobożny was za życia uczynił Ochmistrem swego dworu, należało się wam już coś więcej niż kasztelania kaliska...

— Należało mi Województwo — wyrwało się Sędziwojowi — nie komu ino mnie. Stała mi się niesprawiedliwość!

— Przemysław wam nie sprzyja — dodał Zaręba — służba wasza idzie marnie.

W tem przerwano im rozmowę. Zaręba zabiegliwy a nieustraszony, choć się zbliżała chwila przyjazdu księcia, wieczorem znowu powrócił do Sędziwoja.

— Cóż? wy tu jeszcze? — zapytał go Kasztelan. — Toć to szaleństwo! Gdyby kto z dworu księcia nadjechał, a zobaczył was?

— Tego mi właśnie potrzeba — rzekł Zaręba obojętnie. — Mam tam dużo przyjaciół, których bym rad widział.

Sędziwój był nastraszony tém zuchwalstwem.

— Natkniesz się na kogo, co cię może wydać

i kazać ująć!! — zawołał. — Idź ztąd na skrócenie karku, ja cię tu widzieć nie chcę. — Idź!

— Bądźcie o siebie spokojni — odczuwał się Zaręba. — Nie możecie przecież, przy takim zjeździe wiedzieć o każdym, co się tu płata. Ja się nie boję i zostanę. Nie taję się z tem, że będę przeciwko księciu podburzał, ale to moja sprawa, wy za to nie odpowiadacie...

Śmiało mu popatrzał w oczy.

— Prędej, później i wy się do nas przyłączycie — dokończył. — Krzywdy wyrządzonej zapomnieć trudno, a ja wam ręczę, że ks. Henryk ją wynagrodzi.

Jak się stało, że Zaręba w izdebce ciasnej na zamku pozostał na noc i w czasie zjazdu przebywał w Kaliszu — o czem Kasztelan wiedział — wytłumaczyć trudno.

Gdy wieczorem po uroczystości wyprawiono ucztę na zamku, a na ludzi mniej zwracano uwagi, bo wielu nieznanych z Biskupami napłynęło, Zaręba w ciemnych przejściach czatował na podpiłych dworzan Przemysława, między którymi miał przyjaznych wielu.

Do ich liczby należał młody Ząb, syn Łowczego Gnieźnieńskiego, dawny druż Nalęcza i Michny, który zobaczywszy tu Zarębę, przeląkł się wielce.

— Jakżeś ty się tu śmiał wcisnąć? — zawołał — pozna cię kto i wskaże, to zginiessz.

— Nie boję się — rzekł Michno, odwodząc

go na stronę. Widzisz. że śmiało chodzę, niech cię to nancy, że ja tu swoich mieć muszę i siebie jestem pewny. Wasz książę otoczony jest takienii jak ja, co mu życzą właśnie jako ja i Nalęcz...

Ząb nie dając się uspokoić, drżał i wyrывał się a Zareba śmiał się.

— Tchórz jesteś — mówił, — połowa ludzi teraz napitych, druga zajęta tem, żeby się upiła, nikt na mnie zważać nie ma czasu. Ja ciebie nawracać nie myślę, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć.

I trzymając Zęba za pas, badał go nieustraszony Michno.

— Mów mi, co Przemko robił po śmierci księżnej, gdy rozkaz jego spełniono? Patrzaliście nań.

— Rozkazu nie dawał — odparł Ząb, — nie prawda! Rozpaczwał gdy się to stało. Mina przed pomstą jego natychmiast uchodzić musiała, o mało ją nie zabił.

Zareba śmiał się szydersko.

— A! tak! tak! — dodał... — Powiesz mi, że i pogrzeb kazał sprawić okazały i sam na nim był! To ja wiem przecie, bo, choć wy mnie nie widzieliście — patrzałem sam na to Krok w krok za nim chodzę...

— Aż póki ułapiwszy cię stracić nie dadzą — dokończył Ząb.

— Kto kogo da stracić to jeszcze nie wiadomo — odezwał się Michno obojętnie. Ja cię pytałem o co innego? Jak do zabójstwa przyszło? Kto mu radził? Kto pomagał?

— Nie wiem nic..!

— Tchórz jesteś, albo zły człowiek. — począł gwałtownie Zaręba. nie puszczając go, choć się wyrwał. Po zabójstwie kto przy nim był?

— Widziałem tylko ks. Teodoryka.

— Wiernego służkę i pochlebcę — dorzucił Zaręba. — Ten też pewnie zawczasu wiedział o wszystkim!

Ząb, na którego mimo zimna poty były ze strachu, wyrwał się wreszcie z rąk przyj. ciela. Drndzy też, których po kątach łapał, nie mieli wielkiej ochoty z nim rozmawiać. Błądził tak przez wieczór cały, a w ostatku kilku podpitych ścigawszy, wyszedł z niemi do miasta. Z temi starał się bliższe zawiązać stosunki, co mu się w części udało, ale nazajutrz z ust do ust chodziła po ciechu wieść o zuchwałym chłopie, którego kilku widziało.

Zrana ks. Teodoryk wszedł do księcia, dając mu znak, że chce z nim mówić na osobności.

Od śmierci żony, książę obawiał się o siebie i miał na ostrożności, Lektor też lękał się zemsty, o której głucho chodziły wieści, że ją gotowali jaćś Lukierdy powinowaci czy przyjaciele.

Z pewnemi zastrzeżeniami, ks. Teodoryk nwia-



domił Przemysława, iż wypadkiem wpadł na poszlak o przechowywaniu się Zaręby na zamku, i o porozumieniu jego z Kasztelanem Sędziwojem.

Przemysław zrazu zaprzeczał temu, wierzyć nie chciał — potem namysliwszy się, dowódcy straży, którą z sobą przywiódł z Poznania, kazał strzedz wrót i nicoddalać się od zamku.

Sędziwoj, którego to uderzyło, bo stało się nagle i z wyłączeniem załogi, pobiegł niespokojny do księcia, którego znalazł nachmurzonym i gniewnym.

Zwrócił się do Kasztelana żywo Przemysław, zaledwie zobaczywszy go u progu.

— Wiem o tem, — rzekł do niego — że ten niepoczeiwiec, który dawno na śmierć zasłużył, Michno Zaręba był wczoraj na zamku. Okazywał się jawnie, urągając mojemu gniewowi — a wy, nie wiedzieliścież o tem?

— Nie wiem, — odparł Kasztelan błędniejąc. Na zamku wczoraj były tłumy, nie mogłem widzieć wszystkich... Weisnął się może zuchwalec.

— Szukać go każcie, chwycić — dodał książę. — Głową mi swą odpowiadacie za bezpieczeństwo! Zaręba nie był tu pewnie bez złej myśli... To drub wasz dawny!

Kasztelan zachnął się.

— Nieprzyjaciół pana mojego, — zawołał — przyjaciół moim być nie może. W. Miłość krzywdę mi czynicie! Posądzacie mnie.

Przemysław nie mógł się pohamować w gniewie.

— Kasztelanie, — rzekł — nie posądzam was, ale wiem, że żal macie do mnie; nie wiele polegam na was!!

— Nie miałem nigdy ani wiary, ani laski u Miłości Waszej, — wybuchnął Sędziwój, — ja też to wiem zdawna. Za me usługi wierne coś mi więcej należało niż zamek kaliski!

— Jeśli on wam nie miły — zawołał książę — mówcie, dam go innemu. Możecie gdzieindziej szukać szczęścia!!

Dziś nie pora o tem — dolożył — dopóki kasztelanem jesteście, idźcie i kaście tropić tego łotra.

Sędziwój chciał coś mówić jeszcze, ale książę na drzwi palcem mu wskazał.

Kasztelan musiał to znieść, że jakby mu nie ufano, ludzie przyboczni księcia, strzęśli w oczach jego zamek cały, wszystkie komórki i wyżki. — Trwało to godzin kilka, w ciągu których pilno wrót strzeżono...

W trwodze wielkiej przebył je Sędziwój, lekając się, aby Zareby nie pochwycono, lecz ani tu, ani w mieście go nie znaleziono.

Dopiero, gdy poszukiwania bezskutecznemi się okazały, Kasztelan skarżąc się głośno i wyrzekając poszedł do księcia.

Przemysław nie dał ich sobie czynić, zbył go pańsko i surowo

— Radzę wam, kasztelanie — rzekł odprawiając go, — nie mnie obwiniać ale siebie. Strzeżcie się na przyszłość, bym was posądzać i żalu do was mieć, nie znalazł powodu...

Sędziwój dotknięty mocno, wyszedł po tej odprawie — z pragnieniem zemsty w sercu.

Arceybiskup dnia tego wyruszał z Kalisza do Gniezna; Przemysław mu towarzyszył. Biskupi też jechali z nimi lub do stolic swoich, tak że zamki opustoszały znowu...

Nad wieczór Sędziwój który się burzył ciągle, poszedł sam na miasto szukać Zareby. Miał już postanowienie porzucenia się z nim i książętami Słazkiemi. Przeczynał, że i on go szukać będzie. Na pół drogi się spotkali.

— Narobiłeś mi zła — krzyknął zoczywszy go Sędziwój rojątrzony — bodajesz sam go doznał! Uśmiechnął się Michno.

— Co wam się złem wydaje, na dobre wyjdzie, — rzekł. — Lepiej dla was, gdyście się przekonali, czego się macie po księciu spodziewać.

Łaski jego nie odzyskacie, wiary w was nie ma. Jedźmy do Wrocławia, tam was przyjmą ramiona otwartemi. — Nie będę tam dłużej, mam polecenie tam was ściągnąć.

Krótko się kasztelan namyślał.

— We Wrocławiu i tak być miałem, — odparł udając obojętność. — Nie ma w tem grzechu księciu się pokłonić. Ale — co z tego!

— Czyż ja wam potrzebuję tłumaczyć? — szepnął Zaręba. — Wiecie, że książę Wroclawski z Brandeburczykiem trzyma, bo ma córkę Ottona długiego za sobą. Brandeburgi na Pomorze czyhają, a on całej Polski chce i będzie ją mieć. Jedźcie! czem prędzej, tem lepiej!

Przemysław paść musi i zginąć, — dodał — a nie z czyjej ręki, jak z mojej!

Kasztelan widząc ludzi nadechodzących, nakazał mu milezenie, lecz zaprowadziwszy go o zmroku do komory, długo się z nim naradzał. Zaręba szybko potem nazad do miasta powrócił, konie kazał siodłać i zniknął.

W kilka dni potem kasztelana w Kaliszu nie było, mówiono, że wyjechał do najętności swych i dość długo oczekiwano nań w zamku. Kędy się zabawiał nie wiedział nikt. Donoszono do Poznania o tem, iż Sędziwój mało nad bezpieczeństwem grodu powierzzonego mu czuwał — ale nie nie zdawało się zagrażać.

---

## V.

Na zamku Wroclawskim od zgonu Henryka Brodatego, nie mało się razy panowie i dwory zmieniały. Coraz inaczej wyglądało to siedlisko główne Piastów Ślązkich, które, choć od niego dzielnie w'cie oderwano, zawsze się za ich stolicę uważało. Dobijali się oń z kolei potomkowie świętej Jadwigi rozrodzeni, a w tych rozterkach książęcych, miasto samo i ludność jego coraz większego nabywało znaczenia.

Wnuk zabitego pod Lignicą, Henryk, teraz tu panujący, wielkiego i niespokojnego był ducha. Pragnął szerokich posiadłości, a choć mu się zagarnąć je nie udawało, nawet w walce z nie-szczęśliwym Rogatką, nie dawał się zrazić i odstęczyć niczem.

Zaledwie sam z więzienia uwolniony, kusił się o chwytanie drugich; przegrawszy bitwę jedną, myślał już o tej, którą miał ją powetować.

Był to mąż naówczas w sile wieku, jak wszyscy Ślężcy Piastowicze, zbudowany krzepko, życiem rycerskiem wzmocniony, wytrzymały, zacięty. Pełen ambicji, marzyciel, potrosze poeta składający miłosne piosnki niemieckie, nie już w sobie polskiego nie miał, a stosunkami pokrewieństwa i ducha sięgał po za granice Polski, do Brandeburgów, do Czech, do Cesarstwa.

Cały też dwór jego, oprócz malkontentów z Polski, którzy zbiegali doń ofiarując mu usługi swoje, składał się przeważnie z Niemców, Sasów, szwabów i różnego plemienia przybłądów.

Strój, język, zabawy, podobnym go zupełnie czyniły do dworów innych niemieckich książąt, którym książę Henryk starał się być podobnym.

Żona jego, córka Ottona Brandeburskiego, wniosła tu z sobą niechęć do wszystkiego, co polkiem było.

Spiskowano jawnie prawie przeciwko tym wszystkim książętom, którzy do Krakowa i Sandomierza, Poznania i Kalisza prawa mieli.

Przemysław tak samo jak inni, stał na zawadzie ks. Henrykowi.

Nie było z nim jawnego rozbratu, lecz knowano potajemnie, jak się to naówczas wieść było zwykło.

Upatrywano sposobności, aby mu dzielniey uszczuplić, albo z niej wyrzucić zupełnie.

Na rękę więc było księciu Henrykowi, gdy mu dnia jednego Ochmistrz dworu jego Werner, dał znać, iż z Polski przybyły, ziemianin jakiś, poważny człek, o posłuchanie go prosił.

Był to Zaręba, który na dworze Przemysława, między Niemcami, języka ich się trochę przynuczył.

Dla tej zemsty, której pragnął gotów był teraz na wszystko. To co tu widział, mogło Zarębie dać wielkie wyobrażenie o możności pana, pod którego opiekę chciał się uciec.

Henryk równie wspaniale zwykł był występować jak Przemysław. Dwór jego cudzoziemski był świetny i liczny, on sam pamiętał o tem, że był wielkiego rodu. Zamek Wrocławski co się nigdy wziąć nie dawał, choć nieraz do koła palono przedmieścia i miasto, urósł znacznie, mocnym był i okazałym.

Dawni budowy, po większej części drewniane, nastąpiły murowanym. Ściany obwodowe wzmocniono basztami kragłemi; w pośrodku sale sklepione i ganki kryte, pełne były zawsze dwornego licznego i występującego z przepychem.

Dawnego języka krajowego nikt tu teraz nie posłyszał, duchowieństwo otaczające księcia nie zbyt liczne, rycerstwo, niewiasty książęcej — wszystko niemieckie było.

Wieczorami najulubiejszą zabawą księcia słuchanie pieśni miłosnych i popisy z temi, które sam układał.

Świat otaczający, pół Polski jeszcze miano za barbarzyński i dziki.

Chciwość władzy u księcia Henryka łączyła się z niepomierną żądzą zwiększenia bogactw, które mu do niej drogę uślać miały.

Nie przebierając w środkach, gdy chciał skarbiec zasilić książę, tak jak Rogatka rzuceł się na kogo mógł, szczególnie na duchowieństwo, które z dóbr wielkich nie nie opłacając, ciągnęło dochody znaczne i miało sławę zamożności. Przywłaszczaniem sobie dóbr, dziesięcin, nakładaniem przymusowych danin na Biskupów i kapituły, Henryk, przyczynił sobie nieprzyjaciół w całym duchowieństwie. — Sarkano, opierano się, skarżono do Rzymu, lecz niewiele to pomagało.

Z Biskupem Tomaszem Wrocławskim rozpoczynała się już wojna otwarta. Na zamku więc rzadko się spotykało duchownych, a ci co tu gościli z biskupem i klasztorami zerwać musieli.

Zaręba, którego na zamek chętnie wpuszczono, oczekując na posłuchanie u księcia, miał czas się przekonać, że tu już śladu nie było dawnych obyczajów, które się w Poznaniu jeszcze zachowały.

Książę, który doń wyszedł po domowemu, ale wytwornie odziany, w jedwabnych sukniach obszy-



tych futrem kosztownem, majestatyczniejszym mu się wydał nad Przemysława.

Na ukłon odpowiedział zaledwie patrząc na przybyłego z rodzajem szyderskiego politowania. Zapytał go naprzód kto był. Zaręba poczał od opowiadania pobytu swego na dworze Przemysława, pożyciu jego z żoną, śmierci jej i oburzeniu, jakie ona przeciwko niemu wywołała. Wspominał o krzywdzie, jaka mu się stała, a zakończył tem, że usługi swe przeciw Przemysławowi gotów był księcin ofiarować. —

— Nie wiesz przecie, — odparł dumnie ks. Henryk, — czy ja z nim, czy przeciw niemu?

— W. Miłość nie możecie być z nim, — odparł Zaręba — na to wielkiego rozumu nie trzeba, aby się domysleć. Z prawa starszeństwa należy wam dziedzictwo tych ziem, które on trzyma, dla czegoż byście go nie mieli osiągnąć? Przemysławowi niechętni są ziemianie, podać im tylko rękę potrzeba.

Śluzak słuchał trochę niedowierzająco, siadł, podparł się, wyciągnął, dając mówić przybyłemu. Nie okazywał ani wstrętu do tego, co mu mówił, ani zbytniego zajęcia. Człowiek, zdrajca — budził w nim niechęć widoczną.

Zaręba rozgadał się szeroko o swych powinowatych, o ziemianach jedno z nim mających przekonanie — a nakoniec rzekł kusząc ks. Henryka.

— W. Miłość możecie łatwo dostać zamek

kaliski, byleś rękę wyciągnął. Znam Sędziwoja, który tam kasztelanem jest, iż z nim się ułożyć będzie można...

Posłyszawszy to Henryk okazał żywsze nieco zajęcie. Rozpytywać zaczął o Sędziwoja — odprawił Zarębę, przywołać go kazał raz drugi, i Michno wyruszył na ową do Kalisza wyprawę.

Wrócił z niej z najlepszymi nadziejami, a wkrótce potem i przyobiecany Sędziwój we Wrocławiu się zjawił.

Sam książę potajemnie wiódł z nim układy.

Przygotowania do opanowania grodu potrwały kilka miesięcy.

W końcu Września następnego roku, Przemysław znajdował się na zamku swym w Poznaniu.

Żył teraz dosyć odosobniony od śmierci Lukierdy, posępny, a ks. Teodoryk, który go zabawił, czytał mu, rozrywał, coraz był w większych łaskach...

Na zamku wiele się zmieniło.

Książę usiłował wspomnień dojmujących zatrzeć ślady. Izby, w których zbrodnia dokonana została przerobiono zupełnie, oddano je na pomieszczenie dworu, a inne wspanialsze, odnowione gotowano dla przyszłej żony księcia, o której już naówczas mówiono, iż książę powinien się o nią być starać.

Młody, w sile wieku, aby nie znijsć bezpotomnie, musiał szukać towarzyszek. Świnka lęka-

jąc się, aby do swawoli nie wrócił nalegał. I on i ks. Teodoryk ciągle to książęciu przypominali.

Przemysław ociągał się z jakąś zabobonną obawą.

Wież o gwałtownej śmierci Lukierdy tak była rozpowszechnioną, iż wielu odstręczała od niego. Po różnych dworach próbowano starać się o księżniczki, których odmawiano. W ciągu krótkiego czasu krwawa przygoda urosła w legendę, zmieniła się w pieśń, którą publicznie po kraju śpiewano. Weszło to było w wiarę powszechną, iż książę mord żony nakazał.

W pieśni żalosej, którą nucili niewiasty, Lukierda prosiła męża, aby jej życie darował, by jej powrócić do swoich, choć w jednym gźle, boso pozwolił. Okrutny Przemysław skazywał ją na śmierć, a śpiew łzy wyciskając, wzmagał niechęć przeciwko niemu. —

Powtarzania tych pieśni niepodobna było zakazać. Nucili ją po gospodach publicznych gęślarze, niewiasty uczyły się i roznosiły. Wprędce rozpowszechniła się tak, że z tęskną jej nutą nieraz dwór książęcy w podróżach się spotykał.

Chociaż na zamku komnaty, w których Lukierda życie skończyła, przebudowane były i przez dwór zajęte — powiadano, że nocami ukazywał się tam cień zabitej w białej sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową na piersi

zwieszoną, załamanemi rękami, błędzący po izbach i podwórzu między zamkiem a kościołem.

Sam książę słyszał o tem i strach go ogarniał taki, iż w nocy wychylić się sam wahał z komnaty. Duchowni doradzali pobożne dary i fundacye; jakoż w miesiącu Grudniu, zaraz po zgonie Lukierdy, Przemysław założył i wyposażył wsiami bogato klasztor dominikanek.

Nie uspokoiło go to jednak... W sumieniu swem cierpiał. Ks. Teodoryk jako ostatnie lekarstwo ożenienie zalecał.

Wzięto się do przerabiania na zamku, a ślengi, które do morderstwa należały, precz wysłano.

Bertocha dręczona zgryzotami, wkrótce zapłała się i zmarła.

W poszukiwaniach nadaremnych żony dla księcia sięgnąć musiano aż do dalekiej Szwecyi po córkę Waldemara króla, który w wojnie był z braćmi, spowodowanej rozpustą i swawolą. — Mszczono się na nim za uwiedzioną siostrę żony...

Księżniczka Ryksa, córka Waldemara łatwą była do pozyskania, bo nie miała wyposażenia a ojciec zagrożony straceniem z tronu, nie miał już nawet stałej stolicy i po kraju się błąkał.

Mówiono więc o poselstwie do Szwecyi, a Przemysław choć uległ Świnie i godził się na to, zwłóczył je i odkładał przez jakąś dziwną obawę.

Smutne było życie na tym zamku, nad którym

jeszcze cię nieszezęśliwej pani ulatywać się zdawał — książę ztąd często się wyrывał do Gniezna, w towarzystwie Arcybiskupa jedną znajdując pociechę. Lowy go nie bawily, turnieje na zamku zaniedbane zostały...

Jednego z chmurnych i smętnych wieczorów wrześniowych, o niezwykłej godzinie, gdy książę sam z ks. Teodorykiem w komorze swej odpoczywał, zjawił się Tomisław dopraszając posłuchania.

Żądanie to w porze spóźnionej zaniepokoiło Przemysława

Wpuszczony Wojewoda był blady i poruszony.

— Ze złą wieścią przybywam, — odezwał się nie osłaniając, i nie szczędząc księcia, — Sędziwoj nas zdradził, zamek Kaliski zdał księciu Henrykowi Wrocławskiemu.

Książę stał chwilę jak przybity.

— Sędziwoj! — Henryk! — począł niewyraźnie. — Zkąd wieść?

— Miasto się nie dało opanować — obroniono je pono — dodał Tomisław — Są ludzie, co ztamtąd zbiegli.

Spojrzał na pana, który się nie odzywał, okazując tylko wzruszenie wielkie. Nagle Przemysław podniósł głowę i zawołał głosem silnym.

— Ludzi zwołać! Idziemy na Kalisz! Wszystkiemi siłami... Ja sam poprowadzę...

Zabrakło mu tchu na chwilę.

— Ani godziny nie traćcie — dorzucił prędko — natychmiast gonców ślać na wszystkie strony... Idziemy jutro... poszedłbym dziś, gdyby można.

Tomisław potwierdził potrzebę prędkiego działania. Wydawać zaczęto rozkazy natychmiast.

Książę budził w sobie otuchę, ale i w nim i w Wojewodzie nie było wielkiej nadziei odzyskania Kalisza.

Drugiego dnia już dowiedziano się, że zamek był silną opatrzony załogą i do oblężenia spodziewanego przygotowany. Klęska tę miała tylko dobrą stronę, że Przemysław z odrętwienia wywiodła, zmusiła do wojny, do zapomnienia, co mu na sercu leżało.

Gdy w kilka dni potem ściągnięte siły pod wodzą Tomisława i samego księcia na Kalisz szły, w twarzy Przemysława widać było gorączkowe walki pragnienie i zapal rycerski. Naglił, wydawał rozkazy, sam wszystkiem się chciał zajmować.

Wojsko zebrane na pręde, choć się z najprzedniejszego rycerstwa składało, liczbą szczupłe było. Książę wolał, że gotów własne dać życie, aby stratę, którą sobie przypisywał — odzyskać.

Nim dociągnęli do Kalisza, Henryk miał czas w nim obwarować się dość silnie, okopać i ludźmi napelnić. Samo położenie wśród uizin błotnistych utrudniało obleganie i zdobycie.

Przemysław opasał naprzód twierdzę do kola,

zdało się iż jeśli nie siłą to głodem wziąć ją musi, gdyż Ślązacy nie mieli wyjścia ni:dzie, a odsieczy rychlej nie mogli się spodziewać.

Lecz załedwie namioty rozbito, a Tomisław czas miał się rozpatrzyć i rozsluchać — przybył do księcia smutny, prorokując, że leżeć przyjdzie dln:go, bo zamek był najlepszem rycerstwem Ślązkiem silnie bardzo osadzony.

— Czekać! stać! oblegać nie myślę — przerwał mu książę. — Ślijcie do zamku z zapowiedzią, że jeśli mi się do trzech dni nie poddadzą, szturmem wezmę ich i nikogo nie puszcę z życiem.

Wojewoda próbował ulagodzić księcia, nie dopuścił mówić.

— Trzeciego dnia szturm przypuszczę, bodajbym sam w nim miał zginąć! — powtórzył.

Wojewoda musiał wyjść posłuszny jego woli.

Wysłanych pod mury z wezwaniem niemcy przyjęli śmiechami.

Uragali się wołając:

— Chodźcie — weźcie!!

Książę ledwie trzeciego dnia mógł cierpiwie doczekać i mimo przedstawień Wojewody, kazal na ranek gotować się do szturm.

Wszystkim on, oprócz niego, wydawal się nadaremny, lecz książę mówić o tem nie dawal i jak szalony sam pędzil do boju.

Jak dzień rycerstwo, które się w końcu zapalem jego przejęło — posunęło się pod zamek.

Tomisław i starszyzna największą trudność mieli Przemysława uratować od niebezpieczeństwa, na jakie się ślepo narażał. Rzucił się w najbardziej zagrożone miejsca, na strzały i pociski, na stosy trupów, które w krótkce całe zaległy podwale.

Niemcy widząc, że nie ujdą z życiem, bronili się rozpaczliwie. Dzień cały bez przerwy ponawiano napady daremne — Tomisław błagał, książę go nie słuchał.

Co było najprzedniejszego rycerstwa, padło w tej walce nierównej z kłodami i kamieniami, nie z ludźmi. Przemysław w potłuczonej zbroi, ranny, rozpaczający, już nocą prawie ledwie się dał odciągnąć od murów. Niemal gwałtem porwano go ztamtąd oznajmując, iż Arcybiskup z Gniezna przybył i w namiocie nań czekał, powołując go do siebie.

Był to jedyny człowiek, którego głosu mógł książę w tym stanie ducha usłuchać. Poległych rycerzy trupy, odparte szturmy — upokorzenie, odejmowały mu przytomność.

Na pół umarły od tego bólu, dał się wieść beczslny i nieszczęśliwy.

W namiocie oczekiwał nań Świnka.

— Ojczy! — zawołał nierzawszy go książę. — Pomsta Boża nademną! Kaliski zamek, stryja mego stolica, którą otrzymałem w spuściznie, w rękach obcych!! Kalisz! rycerstwo moje najlepsze leży trupem! a ja nie umarłem



Areybiskup przeżegnał go.

— Bóg tak chciał — rzekł spokojnie — kara to, próba czy napomnienie, nie wiem, ale wyrok, któremu się poddać potrzeba!

— Nie odstąpię ztąd! raczej zginę! — począł Przemysław.

Biskup rękę mu położył na ramieniu.

— Pokój z tobą! — rzekł. — Pokój z tobą! Ja ci przynoszę go. Henryk do mnie przysłał, Kalisz ci powróci, za kawalek ziemi mniej cenny a jemu przyległy.

— Nigdy! — odparł książę.

Areybiskup na próżno go skłonić usiłował — Książę nazajutrz nakazał szturm nowy.

— Nie mamy z kim go ponowić — odezwał się przywołany Wojewoda.

Wymówki tej Przemysław słuchać nie chciał, trwał przy swoim, burzył się i szalał. Arcybiskup nie odstępował go, usiłując powolnie przywieść do opamiętania.

Przypomniał mu, że Bóg przeznaczając go do podźwignięcia korony Chrobrego, przez ciężkie próby i trudy wiedzie do tego celu. Nakłaniał, aby chciwemu Henrykowi dał ziemi kawalek dla odzyskania Kalisza i spokoju.

Przemysław nie ufając już przyszłości, liczył wszystkie nędzy i zawody żywota swego.

— Cale moje życie — mówił — zmarnowało się w lamaniu z losem... Nie ufam już w przy-

szłość lepszą. Od młodości ciągiem jednym klęsk i zawodów była dola moja. Polieźcie więzienia, zdrady, domowe męki, błędy moje, zbrodnie, które na mnie włożono! Nie jestem godzien korony, a życie mi obmierzło.

Trzeba go było jak dziecię pocieszać, Świnka używał wszelkich środków.

— Mój książę — rzekł mu — i jam się nie czuł nigdy godnym tego arcykapłańskiego dostojęstwa, które Bóg włożył na mnie. Uspokój się, a zachowaj dla przyszłości — Henryk ci Kalisz powróci, posłańcy jego i pełnomocnicy czekają — ja będę pośrednikiem.

Przemysław odpowiadał jednym, że chce iść, walczyć i ginąć.

Ledwie po długich usilowaniach, udało się Arcybiskupowi znięczyć Przemysława, który w końcu wszystko zdał na niego.

Świnka pochlebiał sobie, iż powagą swą skłoni Ślęzaków do łagodniejszych warunków, wystawując im jak niegodziwą zdradą opanowali gród, do którego żadnego prawa nie mieli.

Ślęzcy pełnomocnicy wezwani do obozu przybyli dumni i zuchwali jak zwyęczy, wcale nie skłonni do ustępstw. Arcybiskupia powaga ludziom którzy swego pana codzień z władzą duchowną widzieli w zatargach, nie czyniła na nich wrażenia.

Werner, ulubieniec księcia, z góry oświadczył, że innych nie przyjmie warunków, tylko ustęp-

stwo Oloboku z przyległym powiatem. Narzucił nadto Przemysławowi obowiązek wystawienia tam twierdzy, którą gotową oddać miał Henrykowi.

Arcybiskup próżno się starał o zniesienie przynajmniej ostatniego warunku.

— Wystawcie sobie twierdzę sami — rzekł — uczynicie ją jaką chcecie.

— Na to my ani czasu, ni kosztu tracić nie chcemy — odparł Werner. — W Kaliszu mamy zamczysko dobre, warowne, nie zamienim go tylko na inne, które będzie tego warte.

— W Kaliszu się nie ostoicie! — mówił Świnka.

— Któż to wie? — odparł Ślązak. — Ślązaków jest nas sporo, znajdziemy pomoc w teściu naszym Ottonie. Wy jej nie możecie mieć znikąd. Zdobędziemy miasto, zawojujemy ziemie okoliczne.

— Jakież prawem? z jakiego powodu do napaści i wojny? — pytał Świnka.

— Wojna prawa nie pyta — rzekł Niemiec, uderzając po mieczu dłonią — to prawo nasze!

Zostawiwszy ich w swym namiocie, gdzie, jako Niemców słynących z tego, że pili dobrze, kazał hojnie przyjmować Arcybiskupa, sam poszedł do Przemysława. Z tym szło równie trudno, jak ze Ślązakami, bo o Oloboku i zamku słuchać nie chciał.

Niemcy się przy swem trzymali i już mieli odjeżdżać z niczem, gdy Tomisław z rannymi

rycerzami, ocalonemi po wczorajszej walce wszedł do namiotu księcia.

Rycerstwo ofiarowało pannę swemu przysięgę, że Ołobok odzyszcze, aby go poświęcił bez trwogi.

Tomisław, brat jego, starszyzna wszystka całując krzyże swych mieczów, składali uroczyste zobowiązanie się choćby twierdza najsilniejszą była, że ją wraz z powiatem odbiorą.

Nalegania, prośby, przysięgi, nakoniec księcia złamały, Świnka powstrzymał posłów i notariusz siadł zaraz spisywać umowę.

Śluzak gdy do końca ją doprowadził, niezmieźnie był rad i nie umiał ukryć tego, bo pomimo przechwalek, zalodze w Kaliszu trudno się było utrzymać, a mieli tu najdzielniejszych swych rycerzy, których na zgnębę narażać nie chcieli.

Gdy umowa spisana została, Arcybiskup rzekł do Wernera:

— Powiedźcie panu waszemu odemnie, iż źle nabyte mienie, szczęścia nie przynosi, dodajcie i to, że ja Głowa kościoła ziemi tej ślę mu przestrogę, aby prawa jego lepiej szanował, gdyż ja nie poszanuję też książęcej dostojności.

Śluzak przyjął to z lekceważeniem.

— Przemawiacie za sprawą Biskupa Tomasza, odczuwał się. — Jnści duchowny jeden za drugim njmować się musi, ale ja tego panu memu nie odniosę. Wy wszyscy panowie duchowni trzymacie w skarbcach waszych więcej, niż wam

potrzeba grosza, którego nam braknie. Słecie go go Rzymu — a my darmo musimy w obronie waszej wojować.

Pan nasz bezbożnikiem nie jest, ale gdy mu złota na wojnę potrzeba i do skarbcza kościelnego sięgnie...

— A Kościół go wyklnie jak łupieżcę — zakończył gwałtownie Arcybiskup.

Werner i tem się nie dał poruszyć.

— Już to czasy te przeszły — rzekł — gdy ludzie od kłatwy waszej umierali i gdy się jej lękano. Znajdziemy sobie księży, co nam mszę będą odprawiać mimo interdyktu.

Arcybiskup zbłądł słysząc te zuchwale słowa.

— Nie wyzywajcie mnie! — dodał groźnie — abym wam nie okazał, że anathema z tronu obalić może.

Tak się skończyła ta rozmowa, i posłowie odjechali księcia nie widząc, który chory w namiocie leżał.

Po owym szturmie nieszczęśliwym, reszta nie-dobitków musiała też w mieście i po namiotach spoczywać i goić rany, bo ani jeden z walczących nie wyszedł bez nich, a wielu potłuczonych i pokłutych umierało.

Przemysław nie chciał odciągnąć z pod zamku, dopóki by on mu nie był zwrócony. Chciał być świadkiem, gdy wyciągnie załogę i zająć gród na siebie.

Dowódzca Szwab, gdy odebrał rozkaz wyjścia z zamku, świetnie przybrał swe rycerstwo, choraągwie z orły czarnemi rozpuścić kazał szeroko, na czele postawił trębaczów i kotły i tak z tryumfem a urąganiem wyszedł krokiem powolnym przeciągając okolo obozu polskiego, którego żołnierze po namiotach się pozamykali.

Zamek, gdy z niego ostatni ciura i wóz ostatni wywłókł się za wrota zostawując je otworem, przedstawiał obraz spustoszonego, jakby przez Tatarów grodu, w którym nie pozostało nic, cokolwiek zabrawcem lub zniszczonem być mogło.

Resztka zasobów po księciu Bolesławie, zapasy oręża, szat żywności, sprzęt nawet, Ślązaki uwieźli z sobą lub porozbijali i popalili.

Brakło tylko tego, by wychodząc ogień podłożyli pod ściany.

Drzwi z zawias powyrywane, polamane okiennice, powybijane błony, pobrukane umyślnie ściany, porąbane i poopalane słupy, szczątki naczyń potluczonych, kupy gnoju po komorach — świadczyły o złości ludzi, którzy tu czas krótki przebyli.

Nie oszczędzono ani kaplicy zamkowej, w której ołtarz został nagi, bo z niej nawet krzyż srebrnemi blaszkami obity, na wozy zabrano, ani zakrystji, z której szaty i bieliznę wzięto, a skrzynie porąbano w kawały.

Kilka koni zdcechłych ze zdętymi brzuchami

leżało w dziedzińcu, z mięsem przez psy powyżeranem.

Gdy Tomisław wjechał na ten zamek, który znał za lepszych czasów, rad był, że uprzedził księcia, i co rychlej go oczyszczać kazał, aby przynajmniej w tym stanie Przemysław go nie oglądał.

Jadący za nim ziemianie milczeli, a niektórym z nich z ust wyrwały się przekleństwa.

— Pomścimy się za to! — mówili.

Nazajutrz dopiero znać dano księciu, iż mógł się na gród przenieść.

Wjechał z oczyma spuszczone wprost udając się do kaplicy, którą Arcybiskup, z klasztoru się sąsiedniego zapożyczywszy, jako tako przybrać kazał.

Tu pokłękłszy, uspokojony nieco, modlił się długo...

---

## VI.

W rok potem we Wrześniu, Poznań jak niegdyś, gdy się sposobil powitać młodą panią swą ze Szczecina — przystrajał się na przyjęcie Ryksy, córki króla Waldemara.

Z Gdańska przysła już była wiadomość, iż narzeczona księcia wysiadła na ląd szczęśliwie. Wojewoda, kasztelan i wysłane naprzeciw rycerstwo polskie wiodło ją do przyszłej stolicy.

I na ten dzień już jej przybycie zapowiadano.

Arcybiskup Swinka, którego sprawą małżeństwo przyspieszone zostało, oczekiwał tu na nią.

Nie z taką niecierpliwością radosną jak niegdyś wyglądano nowej Pani; lud ciekawy był ale nie wesół. Gdy te przypominały pierwsze, gmin półgłosem nucił ciche pieśni o Lukierdzie. Coś jak obawa pomsy Bożej drżeniem przejmowało tłumy zalegające gościniec i place. Nie nie



przerywało ciszy ponurą. Dzień był późnej jesieni z liśćmi pożółkłymi na drzewach, z bładem niebem powleczone jakby oponą mglistą. Słońce niewidoczne, niby jaśniejsza tylko chmurka roztopiona w powietrzu zwolna płynęło po niebie. Smutek jakiś wiał z tego powietrza przepelnionego wonią jesienną wędniejących roślin, ściętych zbóż, roli poruszonej sochami, wilgoci osychającej powoli.

Na wieży kościoła stał jak niegdyś strażnik ze zwiniętą chorągwią — lecz zaspany i zdrętwiały.

Na zamku przybranym z całym przepychem na jaki zdobyć się było można, czekał Przemyśław, z młodą swą, piękną a już zwiędłą od rosk twarzą, na przybycie tej, która mu była przeznaczoną. Opowiadano ją piękną, złotowłosą, niebieskooką, jak pierwszą...

Książę, który długo małżeństwu się temu opierał i zwłóczył je, poddawszy się woli Arcybiskupa i duchownych — z obojętnością smutną przyjwował je jak konieczność.

Świnka widział ze smutkiem, iż wspomnienie tej przyszłej żony wywoływało drzenie i obawę jakąś w księciu.

Rzucił wzrokiem obłąkanym do koła jakby się zmartwychpowstania zmarłej obawiał. Nie pomagała na to modlitwa ani rycerskie zabawy, jeden Arcybiskup słowy namaszczenia pełnami umiał go otrzeźwić i z zadumy wyprowadzić.

Dnia tego niepokój księcia rósł i coraz się stawał widoczniejszym. .

Na zwiady wysłany przez Świnkę ks. Jan, wróciwszy nie o narzeczonej powiedzieć więcej nie umiał nad to, że była młodą, piękną, i na podziw — mimo oddalenia od kraju swego i rodziny, wesołą, śmiałą i swobodną.

Arcybiskupowi właśnie się to dobrem zdalo, iż wesołością tą mogła ponurego pana rozerwać. Opowiadano jak ją bawiło wszystko co widziała i spotykała, jak była pok'onom rada, podarkom wdzięczna i jak szczebiotliwie rozmawiać próbowała z temi co naprzeciw niej byli wysłani.

Książę Przemysław wyjechać miał na spotkanie, gdy mu znak dadzą o zbliżającym się orszaku. Koń stał już dlań gotów, okryty oponą złotem szytą i rzędem sadzonym; rycerstwo mające towarzyszyć czekało w pogotowiu...

Po przywitaniu pod namiotem w polu rozbitym, księstwo jechać mieli obok siebie wprost do kościoła zamkowego, gdzie Arcybiskup połączyć ich miał i błogosławić.

Na to wesele uroczyste ziemianie poprzywozili żony swe i córki starsze, izby pełne były postrojonych dziwnie a z prosta choć bogato niewiast, nienawykłych do ubiorów tych, radych sobie, swym klejnotom szubom, sukniom, łańcuchom, kolcom i oczom, co się na nich zatrzymywały.

Cały ten żeński tłum, obyczajem wieku trzymał

się całkiem z osobna nie mieszając z mężczyznami. Spozierano tylko ku nim ciekawie, ukazywano sobie znane i głośnie, mieniano zalotne wejrzenia i tulono wyrywające się śmiechy.

Przepych strojów był wielki ale całkiem inny niż dzisiejszy — chwalono się więcej bogactwem niż smakiem, ilością niż doborem. Sobolowe kołpaczki, zawitki z rąbka przeźroczystego, jedwabie ciężkie, suknie złotem tkane i szyte, klejnoty kute i nasadzane kragło oglądzonemi kamieniami, jaskrawą tę mozaikę składały.

Poważniejsze niewiasty stały przodem jak wodzowie i strażę, dalej męzatki młode, a w samej głębi dziewczęta, którym ani bardzo potrzebować, nie być widzianymi nie było wolno. Nie rozmawiano głośno, ale szmer i śmieszki nie ustawały na chwilę.

Rycerstwo opodal stojące osobno, ciekawie oczy wlepiało w tamtą stronę, swobodnie i swawolnie rozmawiając o kobietach, które domyślając się co rzucane wejrzenia ogniste znaczyły — rumieniały się ciągle.

W niewieściej gromadce opowiadano sobie historję Lukierdy. Te co nie widziały nigdy straszego księcia, ciekawe były zobaczyć go choć zdaleka.

Dzień już się miał dobrze ku zachodowi, gdy ruch powstał w komnatach. Dano znać, książę szedł, krokiem niepewnym, z oczyma w ziemię, hełm złożony, spiczasty ciężcył mu się zdawał,

zbroja piękna dusić go, szata zawadzać. Szedł jak na stracenie, blady był...

Niewiasty patrząc szeptały — nie idzie on jak ten, co zabija, ale jakby sam na zabicie.

Za księciem postępowali panowie dworu, Miecznik, Ochmistrze, Podkomorzowie, Komornicy, Podczaszy, Łowczy, potem duchowni, Kanclerz, pisarze, dworzanie. —

Dwór jak królewski jaśniał od szkarłatu purpurowego i liljowego, przez Włochy ze wschodu i z wojen krzyżowych, przywiezionego do Europy.

Wspaniała pańska drużyna ciągnęła milcząca, zadumana, z pana swego biorąc posępne twarze i postawy dumne.

Świnka udał się do kościoła, gdzie na czele duchowieństwa narzeczonych miał czekać. Przemysław sam jechał ze swemi.

Namiot czerwony widać było w polu rozbity, a do koła pstry orszak księżnej, wozy, konie, ludzi, niewiasty w strojach nie tutejszych...

Książe raz i drugi trwożliwem rzucił okiem.. Koń mu się rwał naprzód żywo, on go wstrzymywał.

Około namiotu poruszać się zaczęło; rozstępywać, ustawiać.

Poprzedzający księcia trębacze zadęli wesoło. Przemysław stał już u wnijscia namiotu i ledwie zsiąść zdążył, gdy ujrzał przed sobą, wiedzioną przcz starszą niewiastę — pobladł i zdrętwiał!

Ryksaż to była czy widmo z grobu wstające Lukierdy?

Ten sam wick, ten sam włos złoty, też oczy, też twarz, nawet dziwnem losu zrządzeniem, miała na sobie suknie, przepaskę, klejuoty jakby też same, w których Lukierda chodziła...

Ona to była, zmartwychpowstała, ale z innym twarzy wyrazem. Mimo trwogi, która ją na chwilę błądząco okryła, nie było w niej owej dziewiczej a dziecięcej nieśmiałości tamtej, która umarła — ale jakaś duma i pewność siebie królewska, — coś szyderskiego, figlarnego. —

Była to Lukierda, ale nie płacząca i słaba — mocna i śmiała.

Nadzwyczajne podobieństwo, które uderzyło tak księcia, iż ani przemówić, ni powitać jej nie mógł, aż ochłonawszy z podziwu — również innych zdumiewało.

Był w tem jakby palec Boży, przebaczenie czy groźba??

Królewna wyuczona była słów kilku niemieckich, które śmiejąc się sama i śmiech starając stłumić, wymówiła śmiało. Przemysław nie słyshał, nie rozumiał nic, nie wiedział co rzekł do niej. — Wnet na koniec siadać znak dano.

Podprowadzono przygotowanego dla młodej pani, którego chłopak w barwie książęcej miał prowadzić.

Dosiadła go rażno, bez obawy, podniosła gło-

wę, spojrzała z góry po orszaku.. — znajcie we mnie panię swoją!...

Piękną była, ale ponętny wdzięk ów pociągał i odpychał razem, grozić się zdawał. Młodziczne dziewczę nad wiek swój było odważne, nie dziwilo się niczemu, nic je nie trwożyło.

Pzemysław obok jadący oczu prawie podnieść nie śmiał na nią; blady, jechał z tą myślą tylko jak dwie niewiasty, tak do siebie podobne być mogły, dla czego Bóg przysłał mu z za morza taką, która co chwila zmarłą męczennicę przypominać miała?

Niewiedząc o tem Ryksa była wcielonym sumienia wyrzutem. —

Dwór cały szeptał:

— Patrzcie! toż Lukierda jaką była przed chorobą! Pamiętacie gdy wjeżdżali... taż sama! ona!

Na obcych nawet padła jakaś trwoga przesądna. Gdy książę jak winowajca jechał z głową na piersi zwieszoną, ona patrzała nań z natrętną ciekawością dziecka, co się zabawce obicanej przygląda. Mierzyła go od stóp do głów błyszczącemi oczkami, a z niego wejrzenia jej biegły na drugich i rychlej kto spuścił wzrok przed nią, niż się ona go ułękła. Chłód był w tem wejrzeniu bystrem, ostygłem, czy nigdy jeszcze żadnym ogniem nie rozjaśnionem. Usteczka jej kształtne nie składały się do uśmiechu lagodne-

go, ale do jakiegoś dumnego szyderstwa. Była przecież córką królewską, choć ojciec jej walczył o utrzymanie się na tronie.

Orszak posuwał się wśród tłumów ludu stojącego do koła jedną masą, pozawieszanego na drzewach, drabinach i dachach. Patrzano, a niekiedy z ust starszych ludzi wyrwały się krzyki, jakby ujrzeli upiora.

Kobiety zakrywały oczy, niektóre uciekać chciały, ale ścisk się nawet ruszyć nie dozwalał...

Na wieży bito we dzwony, wiała chorągiew, przodem trębacze grali na surmach, rogach i trąbach i bili w kotły, budząc wrzawę radośną.

A jednak radości obudzić nie mogli.

We wrotach kościoła stał Arcybiskup ubrany w szaty złociste, z wodą święconą i krzyżem.

Wchodzącą parę błogosławił i powiodł z sobą do ołtarza — a pieśń ogromna, zwycięzka, radośna się rozległa.

Szli — w tem Przemysław drgnął i zachwiał się, mijał to miejsce, na którem widział stojącą Lukierdy trumnę, a ona sama w wianku zielonym ze złotem, szła znowu u jego boku — zaślubiał śmierć!

Ciągnięto go do ołtarza, iść musiał. Z pośpiechem Arcybiskup widząc go tak błędym i strwożonym począł obrzęd, związał ręce, zamienił pierścienie...

Młoda pani nie zadrżała, nie zapłakała, nie

spuściła oczów, zimną dłoń męża pochwyciła śmiało i ścisnęła ją mocno...

Rozległa się pieśń zuowu, nowożeńcy na modlitwę pokłękli.

W tłumie, który kościół napełniał, w ciemnym zakątku, na wschodkach i skrzyni jakiejś spięty, schwytiwszy się ołtarza — podnosił się mężczyzna lat średnich, ciekawie się przyglądając nowożeńcom. Na widok Ryksy ledwie mógł okrzyk powstrzymać. Niżej spinał się drugi, towarzysz jego, chcąc ją także zobaczyć. —

— Słuchaj Pawlek — szepnął pochylając się pierwszy — zepnij się no, zobacz! Toć cud! to druga żywa Lukierda! Oczom nie wierzę!

Nalęcz, gdyż on to był z Zarebą, nie wiele zważając na ołtarz się wdrapał. Stał na nim, spójrział i przecęgnał się ze zdumienia.

— Wiedział Bóg co uczynił — szepnął Michno potrząsając głową. — Zbył się jednej, dał mu drugą taką samą za karę.

To mówiąc Zareba, jakby już dłużej patrzeć nie potrzebował, zsunął się ze wschodków i stanawszy przy Nalęczu, począł mu w oczy patrzeć, jakby pytał — cóż ty na to?

— Co tu moja licha zemsta znaczy? — zamruczał — Pau Bóg sam się jej podjął!

Szeptali tak ukrywszy się w kącie, gdy z kościoła orszak pański wyciągać począł zwolna, a za nim i ciżba na podwórce wyległa, aby się



przypatrywać, jak para książęca szła po Jrodze suknem szkarlatnem wysłanej do zamku.

Noc już była nadeszła. Smolnemi pochodnia-  
mi oświecony zamek i tłum, weselny pochód do  
pogrzebowego czynił podobnym. Nie było nawet  
okrzyków wesela — tylko szmer jakiś złowrogi.

Zaręba ze swym nieodstępnym druhem prze-  
biwszy się przez klechów, którzy zalegali wni-  
ście kościoła, mieli się wydobyć na podwórze,  
gdy Nałęcz dostrzegł, że kilku ludzi zbrojnych  
ukazywało ich sobie nieznacznie palcami i ruszy-  
ło się wnet, jakby w ślad za nimi iść chcieli.

Znano rozgłośnie Zarębę z tego, że przeciwko  
księciu wiechrzył i podburzał, że się do margra-  
biów brandeburgskich i Ślązaków włóczył, spiski  
knował, na pana odgrażał. Czyhano chcąc go po-  
chwycić oddawna. W mgnieniu oka domyślił się  
on niebezpieczeństwa, zaledwie czas miał szepnąć  
Pawłowi — zdala odemnie! Mają wziąć — niech  
jednego nie dwu biorą.. Zostanie kto dla ra-  
tunku...

Rzekłszy to, śmiało, przebojem posunął się  
szybkim krokiem ku wrotom. Nałęcz, który się  
od niego odbił, ujrzał ludzi co ich sobie ukazy-  
wali, po krótkim wahaniu puszczających się za  
Zarębą. Miał czas wszyć się w gąszcz ludu, ale  
go z oka nie spuszczał.

Przyspieszonym krokiem biegł Zaręba ku bra-  
mie, lecz ścisk był taki, że prędko ujść nie do-

zwał. Zręcznie zwinął się razy kilka w prawo i w lewo, aby wzrok śledzących go zmylić.

Nie powiodło mu się to jednak, czeladź, w której poznał dawnych wrogów swoich rozdzieliła się opasując go do koła, tak aby wymknąć się im nie mógł.

Zdawało mu się czasem, że go z oczów stracili, lecz krok ledwie naprzód zrobiwszy, postrzegał ich znowu — widocznie czyhających na niego. Szczęściem Nałęcz już znalazł się gdzieś daleko. Mniej pono o niego chodziło.

Michno dobył nieznacznie mieczyka, tak by stojący przy nim nie postrzegli, i pozostał w miejscu kryjąc się za plecy czyjeś...

Sądził już, że pogoń zmylił, gdy silna ręka pochwyciła go za ramię. Nim czas miał mieczyk swój podnieść, drugi go trzymał za rękę, trzeci dłonią głowę mu zamknął. Targał się napróżno, popychano go, obstępiono ze wszystkich stron. Nie władając nogami, niesiony prawie na pięściach, ujrzał się wprędce w tej stronie, gdzie na wałach było stare więzienie. Ten co go wskazał, i pierwszy pochwycił, był starym jego wrogiem. — Zwał się Szemsza, Łowczy zamkowy, człek był straszny, mało co mówiący, zająkliwy, ale siły ogromnej i serca nie mniejszego.

Szemsza, o czym Zaręba wiedział, zdawna się go pochwycić odgrażał i dyby mu obiecywał.

Mielno mało zważał na to, kilka razy ręk jego uszedł i ufał, że i teraz się wyśliznie.

Ale obrona była niemożliwa.

Zgnieciony, ściśnięty, opasany tak, że ręk podnieść nie mógł — gdy mu i mieczyk wyrwano, nie postrzegł się jak go do szyi więzienia wepchnięto, drzwi otworzono, do środka wtrącono a Szemsza ciągle za kark trzymając, kazał izbę otworzyć, do której natychmiast go wrzucił.

Zaręba znalazł się w ciemności, zachwiał na nogach i padł tłukąc o ścianę, której dojrzeć nie mógł.

Zewnątrz drzwi zawałono drągiem, a Szemsza wołał na stróżów, iż głową za więźnia będą odpowiadać.

Po tyłu leciech bezkarnego snucia się po kraju, tyłu bytnościach potajemnych w Poznaniu i na zamku, popaść teraz w szpony Szemszy i mściwego księcia, dla Zaręby niepojętem się wydało.

Przyjdzie więc nałożyć głowę! pomyślał.

Wydało się to, że on Sędziwoja namawiał pierwszy do poddania Kaliskiego zamku, który tyle krwi kosztował, że Nałęczów i ród swój pociągnął do innych książąt i uczynił z nich wrogów Przemysława. — Za schwytanie go, za głowę była nagroda wyznaczona...

Na dworze teraz nie miał nikogo, co by się za nim przemówić ważył. Przyjaciele, którzy się go

nie zaparli, z samej obawy posądzenia, że z nim trzymali, odezwać się w tej sprawie nie mogli.

Całą nadzieję pokładał na tem, że wesele trwać miało dni kilka, a w czasie godów tracić go nie godziło się, przez ten zaś czas Nałęcz.. mógł się postarać, aby go w jakikolwiek sposób ztąd wyrwać.

Więzienie z dawnych czasów było mu dobrze znane — składało się z izb w wałach i murach warownych i zamczystych. W ciemnicy jego u góry okienko małe, nie tylko człowieka ale dwu pięści razem złożonych wydobyć nie dozwalało. Gruba kratka dzieliła je na czworo jeszcze.

Mieczyk jaki miał, wyrwano mu, został mu tylko nóż za nadrą skryty, a u pasa drugi mniejszy. Obmacawszy się, znalazł przy sobie kaletę, w której para garści srebrnych pieniędzy leżała na dnie.

Podniósłszy się obmacał ściany, oszedł izbicę do koła. W rogu leżało trochę siana i słomy zmiętej. Do jednego murku przytwierdzony był kawał żelaznego łańcucha z obręczem, służący do okucia więźnia.

Mrówie przeszło mu po plecach.

Z góry przez otwór dochodziła go wrzawa na podwórcach, gdzie gromady czeladzi u beczek i stołów się zabawiały. Grali gęślarze, śpiewano pieśni, hukano.

Nadzieję ostatnią miał w Nałczu. Jeżeli ten

uniknąć zdołał, mógł się zająć uwolnieniem jego. Ale jak??

Kto zemsty pragnie musi się sam na nią wystawić — rzekł w sobie. — Schwytali mnie, głowę dać muszę, ale i on nie ujdzie cało. Pomszczą mnie moi, a krew ta może zemstę przyspieszy.

Myślał jeszcze, że w więzieniu lepiej było ginać z własnej ręki, niż sromotnie z ręki kata. Nóż miał ostry... Ale z tem mógł czekać, aż mu wyrok ogłoszą i księdza przyślą. — Bez sądu i kapłana nikogo nie tracono.

Smutno mu się stało, choć do rozkwilania się nad sobą nie był skłonny — ale wprędce męztwo odzyskał i nie mając do stracenia, zaczął bić we drzwi z sił całych. Stróżów blisko nie było, bo i ci poszli do piwa. Nie rychło dopiero odezwał się głos z drugiej strony, nakazujący mu, aby spokojnie siedział, niechce-li mieć z wartownikami do czynienia.

Zaręba począł wołać po imieniu stróża, aby mu świeżej dał słomy, wody lub piwa, za co grosz jaki dostać może. Porozumienie się z napylm Herką było dosyć trudne. Odsunął on w górze zasuwę, wymyślali sobie wzajemnie. Mielno wsunął kilka pieniążków, i tem go nieco udobruchał.

Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy Herka odszedł milezący.

Wkrótce potem w miejscu jego jednego, dwu

się ich zjawilo ze światłem, które w ścianę utkwivszy, rzucili się na więzunia, i mimo rozpaczliwego oporu, odjęli mu nóż, kaletę, odarli z lepszej zwierzchniej odzieży.. Rozdzianego tak na pół, rzucili na zgniłą słomę i drzwi za sobą zatrzasnawszy, powrócili do piwa.

Zaręba nie mrucząc już, jak kłoda legł, widząc, że przyszła uan zła godzina.

Przez całą tę noc ucztowano na zamku, a do ciemnicy nikt się już nie dowiadywał. Wśród wrzawy tej, znużony Zaręba usnął choć trzął się z zimna, bo mu stróże i opończę zabrali. Nade dniem dopiero uciszyło się nieco, gdy ucztnjący pospali się po izbach i rozeszli po gospodach.

Z brzaskiem dnia wróciła gędźba, okrzyki, dzwony, hałas, a więźniowi chleba nawet i wody nie przyniesiono.

Nie stukał do drzwi, nie prosił o nic, duma mu wróciła, chciał ginąć bodaj z głodu.

Nie liczył godzin nawet, nie wiedział czy było południe czy ranek jeszcze, czy wieczór — gdy na ostatek stróż nieznajomy, wniósł mu dzbanek chlebem nakryty i słowa nie rzekłszy, wyszedł. Pić chciało mu się okrutnie, odrazu więc połowę wody wyłopał — ale dreszcze przejęły go jeszcze większe. Padł więc znowu tuląc się w słomę.

Tymczasem nad nim w górze brzmiały pieśni weselne, gędźby, trąby i hukania.

Ucztowano dzień cały.

Zaręba poszukał chleba, zjadł trochę i spał. Ale sen to był gorączkowy, przerywany i niespokojny. Spoglądał ku okienku na pół trawami zarostemu i domyślił się, że noc nadchodziła.

Wrzawa rosła jeszcze, sen go odbiegł. Przed nim na ziemię światełko słabe padało na słomę, nagle i ten ostatni promyczek zniknął.

Zaręba głowę podniósł do góry — okno czemś było zaparte. Cichy głos dał się słyszeć, po którym poznał wiernego Nałęczą.

Wstał co żywiej, aby się zbliżyć ku niemu, ale wyprostowawszy się i ręce wyciągnawszy jeszcze od okna był daleko. Otwór znajdował się w szyi, która ze sklepienia wychodziła.

— Michno! — wołano z góry.

— Jestem tu!... Przekup stróżów... Odarli mnie.. marznę... Próbuje co można, bo żywym ztąd nie puszczą.

— Straż u drzwi mocna.. ludziom zagrożono.

— Póki wesele trwa, póty życia mego.. Ratuj Pawlek.. bo zginąć przyjdzie!

Nałęcz coś szepnął, w otworze znowu błysło światełko — odszedł.

Na trzeci dzień po wzięciu Zaręby, Kasztelan dopiero oznajmił Przemysławowi, że niepocziwego Michna ujęto i trzymano w ciemnicy.

Książę odparł krótko :

— Zdrajca jawny.. sprawić mu na co zasłużył.

— Byłbym go dał ściąć — rzekł Kasztelan — lecz czasu wesela nie godziło się krwi przelewać.

Przemysław nie odpowiadał nic.

Trzeci dopiero dzień na zamku mieszkała pani młoda, a ledwie poznać było można, iż obcą była. Poczynała sobie ze wszystkimi tak śmiało, iż nikt nie ważył się jej przeciwzić.

Właśnie Kasztelan miał odejść z wyrokiem śmierci na Zarębę, gdy zasłona we drzwiach uchyliła się i młoda księżna weszła. Wtargnęła tu jak pani, z twarzą wesolą, z ustami dumnie podniesionemi, strojna, pyszna, niemal zuchwała.

Na widok jej Przemysław zmięszał się i krok zrobił ku niej.

Ona, zobaczywszy we drzwiach Kasztelana, zwróciła się do niego i łamanym językiem niemieckim, śmiejąc się sama ze swej mowy, zapytała go, jakaby miał sprawę.

Ofiarowała się w miejsce męża ją rozstrzygnąć.

Kasztelan spojrzał badając na pana, który głowę spuściwszy milczał. Po chwili dopiero zwrócił oczy na nią i rzekł:

— Schwytano zdrajcę! cóż z nim byś uczyniła?

Rykosa brwi ściągnęła.

— U nas zdrajców wieszają albo ścinają — odparła — a u was?

— Śmiercią też karzą.

— Kogoż zdradził?



Kasztelan wtrącił:

— Z wrogami się znosił, łądzi przeciw panu buntował.

Księżna zadumała się nieco, ale w twarzy jej usposobienia do łaskawości nie było.

Bawiła się rękawem swej sukni obojętnie.

— Stracić go każecie? — zapytała. — Ależ wesele nasze trwa jeszcze. Krwią go oblewać.. nie trzeba.

Przemysław szukał w jej twarzy litości — nie było jej, tylko zadumanie chłodne.

— Krew na weselu — dodała — zła wróżba.

— Odłożym tracenie na później — odezwał się Kasztelan.

Rykza nie wstawiała się za winowajcą — odwróciła się od Kasztelana, popatrzała na męża, poczęła pytać o fraszki i śmiać się.

Pierwsze te dni schodziły na wzajemnem badaniu się małżonków... Areybiskup Świnka, który się umyślnie zatrzymał, z ciekawością patrzył na pierwociny nowego życia Przemysławowego.

„Szczęścia jakiego się spodziewał, widzieć nie było. — Rykza zbliżała się do męża śmiało, w księciu poufalenie się jej budziło jakąś trwogę. Bładł, oczyma rzucał obłąkanemi, usiłował wesołość udać a okazywał poruszenie tylko niepokojne.

Nie odejmowało to usposobienia wesołego młodej pani, nie czyniło wrażenia na uiej — krzątała

się z ciekawością i trzpiotaniem dziecinnem. Obchodziła wszystkie kąty zamkowe, rozpytywała jak umiała ludzi, przyglądała się sprzętom. Nieustannie wydawała rozkazy, a gdy tych dobrze nie rozumiano, śmiała się do rozpuku. W głosie jej było coś takiego, co nieposłuszeństwa nie dopuszczało.

Ci, którzy tu pamiętali Lukierdę, szeptali cicho:

— Podobna jest do niej, jak dwie krople wody — ale gdyby tamta tak sobie jak ona postępowwała, nie umarłaby złą śmiercią.

Czy Ryksa jadąc tu wiedziała o losie, jaki spotkał jej poprzedniczkę, odgadnąć nikt nie umiał — przypuszczano, że przed nią tragiczny zgon ten utajono.

Dnie weselne miały się ku końcowi, ziemianie rozjeżdżali powoli, Arcybiskup pobłogosławiwszy młodą parę powrócił do Gniezna, księżtwo sami na zamku zostali.

Przemysław jakby się starał żony unikać czynnym był bardzo, wyjeżdżał na łowy, zasiadał w sądach, kazał sobie czytywać ks. Teodorykowi. Z żoną szło mu trudno.

Nie pytała o pozwolenie, gdy chciała przyjść do niego, gonila za nim ciągle, a często gdy szukał pozoru do oddalenia się, dawała rozkazy przeciwnie. Przemysław ulegać musiał.

Nigdy go jeszcze tak powolnym nie widzia-  
no, chociaż powolność ta nie pochodziła z mi-  
łości, lecz z jakiejś zabobonnej obawy.

Ryksha była dlań upiorem mścicielem — sama  
niewiedząc o tem.

Dnia jednego, gdy książę wybrał się na łowy,  
została sama na zamku.

Czynna i ciekawa, poszła obchodzić zabudo-  
wania do koła. Chciała zamczysko tak urządzić,  
aby jej przypominało ten szwedzki gród, na któ-  
rym się wychowywała. Biadała nad tem, że tu  
jezior nie było. Sama jedna z ochmistrzą stą-  
rą, którą z sobą przywiozła, korzystając z nieo-  
becności męża — poszła szperać po kątach...

W tej przechadzce po pod murami, Ryksha po-  
słyszała głos ludzki, który się zdal wychodzić  
z pod ziemi. Stała.

Niedostrzeżony prawie otwór kratą obwaro-  
wany zwrócił ciekawe jej oczy. Pochyliła się  
nad nim.

Było to okno więzienia. Wewnątrz niego zawo-  
dził ktoś głosem żalobliwym, tęsknym a smutnym.

Słów nie rozumiała Ryksha, ale nuta ją poru-  
szyła.. Po chwili, poczęła wołać po niemiecku,  
dopytując więźnia, kto był i za co siedział.

Nierychło doczekała się odpowiedzi.

— A któż o to pyta?

— Taki, coby mógł poratować może, gdyby  
było warto...

— Kto?

— Księżna, żona pana twego.

Zaręba rozśmiał się szydersko... Nie wierzył. Ryksa powtórzyła.

— Jam jest! Przysięgam na to!

— A jam jest ten, — odezwał się Zaręba — co bronił pierwszej żony Przemysława i ocalić jej nie umiał.. Strzeż się, aby i ciebie ten co ją los nie spotkał!

Ryksa krzyknęła z oburzeniem.

— Kłamca jesteś!

— Na Boga żywego, nie! — zawołał głos z podziemia. Patrzałem na to, jak ją męczono lat wiele, dawszy na pastwę służebnym...

Wreście kazał ją dziewczkom udusić!

Nie wierzysz mi? — pytaj drugich!

Śpiewałem właśnie tę pieśń smętną, którą o niej lud wszystek nuci...

Ryksa odskoczyła od okna nie chcąc już słuchać więcej, twarz jej okryła się rumieńcem, oczy nabiegły łzami. Skinęła na starą towarzyszkę, aby do komnat powracać.

## VII.

Nie była to słaba i płacząca a przelekła Lukierda.

Wprędce ochłonawszy, córka północy odzyskała mężtwo.

Mówiono jej o śmierci pierwszej księżnej, ale inaczej. Chciała wiedzieć prawdę całą, a nim się o nią miała męża zapytać, potrzebowała przekonać się, czy więzień nie był potwarcą.

Z gorejącemi policzkami, poczęła przebiegać izby swoje, szukając w myśli kogo pytać miała, ktoby jej prawdę powiedział.

Stara Juta ze Szwecyi przywieziona, pół Niemka pół Szwedka, którą jej dla języka jako tłumacza dodano, porobiła już była mnogie znajomości na zamku i w mieście. Nastręczano się jej wiedząc,

że w łaskach była u pani, a mogła być w różnych potrzebach pośredniczką.

Między innemi stara Krywicha, także na pół niemka, u której Mina niegdyś mieszkała, już się była na zamek wśliznęła.

Księżna, chcąc się prawdy dobrać, zażądała od Juty, aby jedną z miejscowych kobiet potajemnie przyprowadziła. Chciała ją kazać badać przy sobie.

Juta przywiodła najlepiej jej znajomą Krywiche, która poczęła od tego, że księżnie do nóg upadła i obsypała ją błogosławieństwami.

Stara Juta służyła za tłumacza. Wiedziała już ona dawniej, choć o tem pani swej nie mówiła, w jak różny sposób opowiadano historją Lukierdy. Strach, jakim ją przejmowała, tłumila w sobie.

Widząc swą panią poruszoną mocno po tajemniczej rozmowie u okna więzienia — której nie słyszała — Juta domyslała się czegoś, ale nie historii Lukierdy.

Dopiero gdy jej kazano pytać Krywiche o zmarłą księżnę, zrozumiała niepokój Ryksy. Chciała podszeptać Krywisze, aby nie wydawała, co o tem mówili ludzie, lecz księżna postrzegłszy znak dany, groźnie poczęła się domagać prawdy.

— Niech mówi co wie! chcę wiedzieć wszystko! Nie nłękę się! Niech powie czy była winną i co się z nią stało Dla czego ją zamordować kazano?

Z przerażeniem Juta posłyszawszy to, oczy sobie zakryła.

Księżna coraz napastliwiej żądała całej prawdy, powtarzając, że wiedzieć ją musi i potrafi ją wybadać.

Nie potrzebną nawet była teraz Krywicha dla powtórzenia powieści, którą Juta już raz nie jeden słyszała, w drodze od Gdańska i na zamku. Rozpytywała ona pilno, bo jej o swą panię chodziło, a im książę okazywał się powolniejszym, tem bardziej lękała się chytrłości jego i skrytego okrucieństwa.

Nie można więc było nie teraz utaić przed panią. Z płaczem poczęła opowiadanie Juta, do którego Krywicha po trosze się przyczyniała, rada że zalecić się może.

Długo, szczegółowie opisywały jej zaślubiny, przybycie, pobyt na zamku Lukierdy, prześladowanie przez Minę. Na ostatek Krywicha z gorącością wielką opowiedziała historję nocy tej strasznej, tak jak ją z ust umierającej Bertochy słyszała.

Rykza słuchała pilno z oschlemi już oczyma, na pozór ostygła, niewzruszona. Gdy Krywicha dokończywszy wspomniła o pieśni, którą lud nauczył o zabitej księżnie, kazala ją sobie tłumaczyć—ale i ta lez jej nie wycisnęła.

Krywicha bijąc się w piersi, zaklinała się

i poprzysięgała, że to co mówiła, z własnych ust jednej z najwinniejszych słyszała.

Rykxa spytała ją jeszcze o Minę — ale o tej różne chodziły wieści, a najpewniejszym zdało się, że do brandenburgskiej marchii zbiegła.

Długo jeszcze przeciągnęło się badanie, aż książę z łowów powrócił. Jutta chciała swą panią rozebrać i namówić do spoczynku, lecz Ryksa czekając na męża, którego widzieć chciała, została w dziennym swym stroju.

Na twarzy jej malowało się postanowienie jakiegoś silne, które Jutę przerażało.

Zaledwie tentent w dziedzińcu oznajmił powrót Przemysława, Ryksa przez ganki wprost poszła naprzeciw niemu, do izby, w której zwykł był wiewczerać, gdy z łowów powracał.

Wchodząc zastała go jeszcze w kaftanie i przy mieczu, zaledwie się rozdziewającego.

Powolnym krokiem, ułożywszy sobie twarz spokojną, zbliżyła się do niego.

Spojrząwszy na nią, Przemysław poznał, a raczej przeczuł, iż niesła mu coś niespodzianego.

Siadła na ławie, po przywitaniu, aby być świadkiem wieczerzy, do której służba szybko posługiwała.

Książę natrętnem tem oczekiwaniem żony nieco zmieszany, radził jej odejść, ale go nie posłuchała. Prędko więc dokończył wieczerzy, przeznawając już, że o coś pytany będzie lub proszony.



Natychmiast skinął na dworzan i komorników, aby się oddalili.

Ryksa czekała cierpliwie.

Dopiero, gdy pozostali sami, wstała ze swą dzieciną powagą jakąś, mówiąc do męża.

— Nam tu mogą przerwać rozmowę. Muszę na osobności mówić z wami. — Chodźmy do komory waszej.

— Późno dziś — rzekł wahając się Przemysław — rozmowę wszak mogę odłożyć do jutra.

— Nie — odparła Ryksa. — Ja dzisiaj chcę mówić z wami.

I nie czekając już odpowiedzi, przodem weszła do izby sąsiedniej, drzwi otwarte zostawując za sobą.

Przemysław musiał iść za nią.

Stanąwszy w pośrodku zwróciła się do niego, jak sędzia do winowajcy, mierząc go bystro przenikającemi oczyma.

Już miała rozpocząć, gdy głosu jej zabrakło, przycisnęła rękę do piersi, a że tym ruchem przypomniała Lukierdę — książę cofnął się przestraszony.

Ryksa długo, bacznie mu się przypatrywała, oczy jej zdawały się sięgać w głąb duszy.

— Chcę od was dowiedzieć się, — rzekła głosem mężnym — prawdziwej historyi o Lukierdzie. Chciano ją taić przedemną, ja tajemnic żadnych

nie znoszę. Są to ciemności, lubię światło i dzień biały.

Mówcie mi — prawdę.

Przemysławowi gniew naprzód na twarz wybuchnął, chciał srogim być, — uśmierzył się wprędce.

Nie odpowiadając nie zszedł na stronę i nóż, który miał przyczepiony do pasa, rzucił z trzaskiem na ławę.

Rykxa ani ruchu tego, ni milczenia, ni brzęku się nie ulękła.

— Jeśli wy mi nie zechcecie mówić o Lukierdzie — dodała — będę musiała wierzyć ludziom, co mówią...

— Cóż mam ci mówić? co? — wybuchnął książę gwałtownie. — Ludzie obwiniają mnie, plotą baśnie. Jestem niewinny i to tylko powtórzyć mogę. — Jestem niewinny. —

— Lukierda nie zmarła śmiercią swoją, — odparła Rykxa. — Dla czegoż ludzie was obwiniają? Zkąd te baśnie? Co za pieśni o niej nucą?

— Pieśni! głupia ciżba! głupie pieśni! Co znaczą karczemne śpiewy!

Mówiąc Przemysław rzucał się i gniewał. Rykxa przypatrywała mu się, śledząc krok każdy.

— Powiedzcież wy mi prawdę — dodała. — Mielście jakąś inną miłośnicę, — to wiem. Nie rozumiem — wtrąciła z uśmiechem dumnym, — żeby to ją miało wielce obchodzić! Wy wszyscy macie miłośnice, ale co żona i księżna ma z niemi?

Ruszyła ramionami, usta wydeła pogardliwie.

— Jakże śmiała jedna dziewczka jakaś z księżną chceć się równać? prawa jakieś rościć? A wy, jak na to mogliście pozwolić?

— Wiecie wszystko — przerwał jej Przemysław — z gniewem — po cóż pytacie mnie?

Nasłuchaliście się już baśni na zamku, przyniosły wam je baby usługne. — Wiercie im sobie, gdy chcecie.

— Ja właśnie prawdy chcę od was, aby nie być zmuszoną im wierzyć, — odparła chłodno Ryksa. — Więc, mówcie.

Przemysław przeszedł się po ciasnej izbie. Ile razy spojrzał na tego żywego upiora stojącego przed sobą, na te oczy zimne, szklane, ostre, które się w niego wpijały, dreszcz przechodził po nim.

— Czego chcesz odemnie! — zawołał zrozpaczony. — Ja sam nie wiem spełna, co i jak się stało! Lukierda tęskniła za swojemi, nieczem jej nie można było zaspokoić. Płakała, zabijała się łzami.. Odpychała mnie, nie cierpiała.

— A wy?

— I jam ją w końcu znienawidzić musiał — odpowiedział Przemysław. Nie na to miał, jak ja niewiastę bierze, aby mu ona płacz do domu codzienny wносиła. Nie miałem potomstwa, nie mogłem go mieć — nie żyłem z nią.

Ryksa stojąc nieruchoma z oczów go nie spuszczała.

czala, gdy mówił — słuchała nie przerywając. Przemysław pornszając się wspomnieniami temi mówił coraz goręcej.

— Mnie i siebie dręczyła! — zawołał.

— Czemuś ją nie odesłał do ojca?

Przemko rzucił głową.

— Wszak prosiła o to...

— W pieśni — przerwał książę chmurno. — Mnie nigdy nie mówiła o tem.. Jam nie słyszał prawie jej głosu. Zniechęciła ją sługi, zniechęciła domowników.. zabili ją.

Brwi Ryksy się ściagnęły — drgnęła.

— A wy, coście tu panem, dopuściliście —

Przemysław rozpostarł ręce

— Tak, — rzekł — winienem, choć niewiunny jestem.

Ale na Chrystusa przysięgam, ja nie dawałem rozkazu — ja nie wiedziałem o zabójstwie!

— Nieszczęśliwa, skąba, bojaźliwa niewiasta! — odezwała się Ryksa. — Ja — ja inną byłabym na jej miejscu.

Przemysław spojrzał na nią. Stała nieulekniwna, smutna tylko.

— Na jej miejscu ja bym te sprośne baby dała potracić. Sługi! niewolnice żeby śmiały targnąć się na mnie!! Nie mówcie mi, żeście niewinni! Na coście jej dali i trzymali takie sługi?

Przemysław powtórzył bezmyślnie.

— Nie winienem!

— Winniście — odparła Ryksa, — bo na waszym zamku, pod bokiem pana, nie się stać nie powinno bez jego woli!

Milczeli oboje. Ryksa białą ręką pogładziła włosy złote, ustąpiła kilka kroków i na ławie przysiadła.

Rozmowa, którą on miał za skończoną, dla niej była dopiero poczetą. Nie zważała na to, że mąż zhyć się jej chciał widocznie.

— Tak, wy winniście, — dodała — ale winna i ona! W jej miejscu Ryksa królowna postąpiłaby inaczej!

Spojrzeli na siebie, młoda pani rąbek, który twarz jej do koła otaczał wzięła w ząbki białe i gryzła go niemi.

— Wiem więc wszystko, jak było — rzekła — a widzicie, że się jej losu nie boję. Jestem córką ojca co nawykł wojować z rodziną, jam gotowa z własnym domem. Muie tu sługi nie zabiją, bo ja je za jedno znehwałę spojrzenie zabijać każę. . . A zechcesz mieć miłośnice — nie powiem nie! Ale tego niechłujstwa, żeby mi na zamku nie było. Do chlewów z tym brudem!!

Książę słuchał jej milczący.

Wstała powoli z ławy.

— Tak! tak! — zamruczała — prawdą jest wszystko, co pieśń mówi! Nieszczęśliwą zameczyli!

Ludzie mówią, żem ja do niej podobna? To

być nie może... Ja czuję w sobie, że nie dałabym się jak w sidła złapane ptaszę, udusić! Nie!

Przemysławowi dolegało już to powtarzanie i zwracając się ku niej, rzekł chcąc zakończyć rozmowę.

— Tak.. była sama sobie winną.. i jam winien był; najwinniejsze te baby przekłete! Ale dziś to niepowetowane sprawy! Nakazałem modlitwy, zakupilem nabożeństwa, uspokoiłem sumienie.. Nie mówcie o tem, nie jątrzcie rany!

Rykxa popatrzała nań.

— Między nami tajemnic być nie powinno — odezwała się z powagą. — Jam tu nie żadna miłośnica, ale córka królewska i żona, której przystało powiedzieć co na sercu miała.. a iść krokami pewnemi... Pocom taić miała! Ja się nie boję nikogo!

Z uspokojoną nieco twarzą, książę się do niej przybliżył.

— Dość tego — rzekł. — Chcę wiedzieć tylko, kto śmiał do uszu waszych przynieść te...

— Żebyś go ukarał? — przerwała Rykxa. — Karz że wszystkich co pieśń tę śpiewają.

Złymnął się książę.

— Ludzie ci niewdzięczni — odczuwał się — nienawidzą mnie. Ale któż ci te pieśni tłumiaczyl?

Rykxa uśmiechnęła się.

— Kto? Chodziłam po zamku — odparła —

usłyszałam głos z pod ziemi. Kto wie? może od jej grobu?

Książę przeżegnał się z przestraczem, po twarzy Ryksy przebiegło jakieś drgnięcie szyderskie.

Widząc trwogę męża, ulitowała się w końcu nad nim.. Jakby się do wyjścia przysposabiała, ściągnęła suknię.

— Macie dość tej rozmowy — dodała — przerwijmy ją. Ja wiem com potrzebowała z ust waszych usłyszeć i wy dowiedzieliście się, że drugą taką jak ona nie będę. To dość!

Przemysław jakby już słuchać nie chciał, kaftan który miał na sobie, począł gwałtownie ściągać. Oczy mu dziko błyszczały.. mruczał coś niewyraźnie.

Księżna popatrzyła na lampę, po ścianach i jak gdyby wszystko już było zapomniane i skończone, odezwała się głosem jasnym:

— Jest goniec od księdza Jakóba! ciesz się książę.. Dobre wieści!

Zwrócił się ku niej Przemysław patrząc ciekawie.

— Ziemianie twoi dzielni są nalczy im nagroda.. Nie czekali rozkazów twych, nie pytali o nie, zebrałi się, uderzyli na tę twierdzę, którą oddaliście Ślązakowi.

— Olobok! — wykrzyknął książę podnosząc ręce.

— Tak! odebrali go — mówiła Ryksa wesóło prawie — całą tę ziemię zawojowali.

— A mnie tam nie było! — z boleścią zawołał książę.

Rykxa, która o wszystkim już starała się być uwiadomioną, znalazła i na ten okrzyk męzowski odpowiedź.

— Mówiono mi — rzekła — iż wy tam nie powinniście byli się znajdować, boście Ołobok ten ustąpili i na tem pieczęć swą przyłożyli, a oni do niczego się nie obowiązali.

Z pewnem zdumieniem książę popatrzył na żonę swą, która już tak wprędce wtajemniczyła się we wszystkie jego sprawy.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł. — Wszystkie spiski i knowania stłumione. Ołobok odebrany, oddycham lżej.

— Tak! możecie i powinniście iść teraz i zdobywać — dodała Rykxa. — Królewska córka, spodziewam się być królową!

Rękami nad głową uczyniła ruch, jakby wkładała koronę i powoli wyszła z izby.

Książę stał długo zadumany o całej tej rozmowie, o żonie, o sile z jaką występowała, a która mu się prawie groźną wydała.

Nie dano mu czasu długo nad tem rozmyślać, wszedł Lektor Teodoryk z księgą modlitw w ręku. Była to jego godzina.

Przemysław, syn ojca tak pobożnego, tak świętego, iż go innym za przykład stawiano, bo nieraz nocą gdy wszyscy spali, okryty włosien-



nicą, przy małej lampce do dnia się modlił, wychowaniec Bolesława, słynnego także z pobożności, kończył dzień każdy modlitwą.

Ks. Teodoryk z nim ją odmawiał.. Tego dnia począł od powinszowania odzyskanego Oloboku, z czego się wszyscy cieszyli. Książę też dla radości tej, zapomniał o przykrej z żoną rozmowie.

Nazajutrz przybył z rozjaśnioną twarzą Arcybisknp.

Mąż to był stworzony, aby w tych czasach bezładu i rozprzężenia, silną dłonią chwyciwszy wodze, przodował wszystkim osłabłym i powątpiewającym.

Z każdym dniem zyskiwał na powadze, na sile, na wierze w posłannictwo swoje. Na twarzy jego malował się ten spokój mężny, który znamionuje wielkich ludzi.

— Ziścili się słowa! — rzekł ręce podnosząc ku Przemysławowi, który spieszył na jego powitanie. — Ziemi kawałek niewielki był ale srom oderwania bolesny! Boże błogosław! Jest to wróżbą przyszłości lepszej.

— A Henryk? — odparł książę.

— Jeśli się nie mylę — rzekł Świnka — nie będzie miał ani czasu ni ochoty odzyskiwać eo wydarł niesłusznie. Ja zwołać nań muszę Synod dla sprawy mojego brata Tomasza Wroclawskiego, zdzierstw i krzywd naszych.. Groźbę mu pošlę, nie zechceli usłuchać, piorun rzucić będę zmuszony.

Niechętnie ciskam je, bo i z temi oswajają się ludzie, ale na tego zuchwalca, który praw żadnych znać nie chce — będę zmuszony!

Za Arcybiskupem wtoczyli się z twarzami wesołemi Kasztelan, Wojewoda, urzędnicy, wszyscy panu winszując a dumni męztwem swojego rycerstwa.

Gwarna rozmowa ledwie się rozpoczynała, gdy ochmistrz dworu księżnej drzwi otworzył i piękna Ryksa weszła strojna, dumna, a tak swobodna i wesoła, jakby nie wczoraj nie zachmurzyło jej czoła i nie ścisnęło serca.

Książę się jej coraz bardziej zdumiewał.

— Wy ojcze — odezwała się całując rękę Arcybiskupa — zawsze nam z sobą przynosicie błogosławieństwo... I książę pan mój, szczęśliwy jest jak nie był dawno...

— Bodaj ten dzień wróżył wam całe pasmo jasnych — odezwał się Świnka z uniesieniem proroczem. — Tak! Spełni się com nosił i noszę w sereu jako modlitwę do Boga! Ujrzymy znowu na głowie księcia koronę, długo spoczywającą w ukryciu, a z nią przyjdą siła, pokój i ład! Jeden tu pan być musi znowu...

Przemysław wzdychał.

— Ojcze mój! daleko jeszcze do tego!

— Jeden Bóg wie co dalekie a co blizkie — odparł Świnka — człowiek czynić ma co powinien

a Opatrzności zostawić co z czynów jego ma wyrosnąć!

Na zamku, w mieście, panowała radość wielka. Echo jej odbiło się aż w ciemnem tem więzieniu, w którym zapomniany siedział Zaręba.

Staraniu ukrytych przyjaciół swoich, zabiegom cichym Nałęczu winien był, że go dotąd na stracenie nie wywieziono. Dzień po dniu zwlekał się wyrok i jego wykonanie.

Słaby promyk nadziei jakiegś świtał, iż wierny Pawlek potrafi go wyzwolić.

Pobożny i zabobonny Zaręba, jak naówczas byli wszyscy, śluby czynił wielkie, jeżeliby mu cud Boży ocalił życie, ale zarazem zemstę po przysięgał zajadlejszą jeszcze znienawidzonemu księciu.

— Nie zginie on tylko z mej ręki — powtarzał ciągle — jeśli mnie przyczyna ŚŚ. Pańskich ztąd wyzwoli.

Nałęcz biegał i robił co było w mocy jego, aby stróżów przekupić albo się podkopać do jamy. Jedno i drugie się nie wiodło. W ostatku, gdy się przekonał, że już o wyłamaniu się wcale myśleć nie było można, Nałęcz i Zarębowie złożyli grzywnien tyle, że ich starczyło na wykupienie najdroższego życia.

W szynku miejskim, do którego czasem dozorca więzienny przychodził, nieznani ludzie poczęli się zbliżać do niego, poić, zawiązywać roz-

mowę, w końcu mu podszeptnięto okup tak wielki, że oprzeć się było niepodobna. Miał za co biedny człek kupić sobie ziemi kawalek.

Ale razem z więźniem uchodzić musiał i dozorca na Śląsko, do Brandeburgów, w kąt jakiś daleki. Miał tu żonę i dzieci.

Dnia jednego przyszło nareście do zgody. Znalezione w więzieniu człowieka, z dawna tam za zabójstwo osadzonego, który do Zaręby wzrostem i włosami był podobny... Tego miano osadzić na jego miejscu, jakby ci co pochwycili Michnę, omylili się.

Więzień zgadzał się na to, co go mówić nauczono, dając mu nadzieję oswobodzenia. Wieczorem wydobył się Zaręba z ciemnicy, gdy straży nie było, wypuszczony przez dozorcę i wprost poszedł do kościoła razem Bogu dziękować i zemstę przysięgać!

W jego miejscu siedział już zbój ów wyuczony, aby go zastąpił.

Tymczasem o Zarębie zapomniano, dopiero gdy po odzyskaniu Ołoboku, mowa była o Kaliszu i zdradzie Sędziwoja, przypomniano sobie jej sprawcę.

— Stracono go czy nie? — zapytał książę.

— Rozkazu nie było.

Ręką dał znak książę, iż dłużej zwlekać z tem nie było potrzeby.

Nazajutrz rano, kazano Zarębę na plac wy-

prowadzić. — Szemsza, który go pojmał, dowiedziawszy się o tem, szedł patrzeć, jak wrogowi leć zetną.

W tem ujrzał ciągniętego na sznurze człowieka.

— A toć nie on jest! — zakrzyknął — gdzież tamten?

Usiłowano wmówić mu, iż ten był, którego pojmał. — Wszczął się spór i rozterka, strzęsiono ciemnice, innego nie było!

Wściekał się i pieniał Szemsza, ludzie się zaprzysięgali, że szatan chyba zamianę zrobił w więzieniu, z którego nikt wymknąć się nie mógł.

Wstrzymano wykonanie wyroku, bo człek był inny, a ten wyznawał, że jego czasu wesela, nie wiedzieć za co wtrącono do więzienia. Dozorcy więzienia, stróż, broniąc swej sprawy, obwiniali Szemszę, lub szatana.

Musiano się odnieść do księcia. Przemysław wiadomość dziwną przyjął obojętnie.

— Prędzej czy później — rzekł — Zaręba wpadnie w ręce moje, a naówczas nie ujdzie śmierci.

Puszczono tego, który zastąpił winowajcy miejsce, a Szemsza poprzysięgał, że albo sprawa w tem była djabelska, lub nieprzyjaciół książęcych. On pewien był, że omylić się nie mógł.

Zaręba, gdy się to działo, zbiegłszy wraz z Nałęczem, już się u swych powinowatych ukrywał.

## VIII.

Dziewięć lat upłynęło od ożenienia Przemyśława, czasu przeciąg wielki, który też znaczne spowodził zmiany.. Najśmielsze nadzieje, wieszczby prorocze Arcybiskupa się iścily.

Nie dał Bóg tylko spodziewanego płci męzkiej potomka, gdyż — księżna wydała na świat córkę, jej imieniem ochrzczoną.

Przemysław rósł w potęgę...

Umierający Henryk Ślązki, jakby chciał dawne swe przewiewierstwa nagrodzić, ostatnią wolą odkazał mu Krakowskie i Sandomierskie. Mszczuj pomorski, nie mający potomstwa, oprócz córki nieuznanej — zapisał mu ziemie swoje.

W rękach więc Przemyśława skupiła się najznaczniejsza część polskiej ziemi; panem był rozległego kraju, a Świnka naglił i nakłaniał, aby

włożył na skronie koronę Chrobrego. Domagała się tego Ryksa, coraz większą nad mężem władzę zdobywająca.

Przemysław sam pragnął tego, lecz wahał się i lękał.

Po wszystkich ziemiach chodziła już wieść o tej koronie dla niego przeznaczonej, a Arcybiskup nie mógł go skłonić jeszcze do naznaczenia dnia wielkiego.

Przeczcucie jakieś złowrogie wstrzymywało go. Nie było ono zupełnie płonnem.. Na sam odgłos tego, co Świnka chciał dokonać, nietylko Brandeburgi, książęta Ślący, ale wszyscy posiadacze dzielnic mniejszych zaczęli trwożyć się o nie.

Przyszły król prędzej później musiał się starać o ich odzyskanie i przyłączenie. Korona Chrobrego innego znaczenia nie miała.

Z wszystkich jednak, co się przeciwko wznowieniu Królestwa gwałtownie opierać zapowiadali, Ottonowie Brandeburscy byli najzajadlejszymi.

Odgrążano się u nich nie dopuścić korony nowej.

Zarębowie i Natęcze nosili po wszystkich ziemiach popłoch ten, że przyszły król na zagładę rycerstwa i ziemian berło w rękę pochwyci, że zapanowawszy, wszystko w garść ściśnie, a nikogo do rady wzywać nie będzie.

Łacno tem było poruszyć ziemian, którzy wo-

leli małych i słabych książąt, potrzebujących ich, zmuszonych kupować łaskami, niż jednego silnego pana.

Właśnie Mszczuj książę Pomorza zmarł był w Oliwie a Przemysław objawszy Gdańsk, nakazawszy go obwarowywać wracał do Poznania, gdy jadącemu zabiegł drogę poseł Arcybiskupi zapraszając do Gniezna.

Tu w starem zameczysku gniazdowem, które Świnka zajmował, ogniskowało się niemal całe Polski życie. On był jej głową, a w ciągu lat ostatnich pracując około nporządkowania spraw kościelnych, zapewnienia praw duchownym, nie spuszczał z oka nigdy korony tej, która była marzeniem jego.

— Koronę podnieść potrzeba, aby jedność przywrócić! — powtarzał nieustannie.

Pragnął jej Przemysław, gorąco życzyła Ryksa — obawa tylko poruszenia nieprzyjaciół wstrzymywała.

Dwór Arcybiskupi w Gnieźnie nigdy tak świetnym nie był, jak za Jakóba II. Świadom obyczajów europejskich, czując, że świetność zewnętrzna poszanowanie wraża, trzymał dwór niemal królewski, dbając by on świadczył o sile jego. Nigdy też powaga Metropolity w kościele i kraju większą nie była. Biskupi szli razem z nim zgodnie, umiał ich jednać i kierować nimi.

Myśl wydobyć dług w ukryciu przechowywa-



nej korony Chrobrego, już z niemi była zgodnie uradzoną. Wszyscy aż do krakowskiego biskupa godzili się na to, iż obrzęd uroczysty wedle starych tradycyj powinien się odbyć w tem Gnieźnie, które Gniazdem było.

Przylączenie Pomorza do posiadłości Przemyśława zdawało się najwłaściwszą chwilą do uczynienia tego stanowczego kroku.

Świnka pewien był, iż nie spotka oporu w Rzymie. Korona szła ztamtąd i hołdowała apostołskiej stolicy.

Przemko na wezwanie pospieszył do Gniezna, które dziś obmurowane, przystrojone, wspaniałsem prawie było od Poznania i jednemu tylko Krakowu ustępowało.

Kościół metropolitalny, pałace arcybiskupie, zamek, który liczna zajmowała załoga, równych sobie w Polsce nie miały.

Siła wojskowa, straż przyboczne, dwór Świnki świadczyły o jego zamożności i ładzie, jaki pod rządami jego panował.

Miał swoich pułkowników, tysiączników, senników, jazdę, piechotę zbrojną i odzianą dostatnio; ochmistrzów dwornych, podkomorznych, komorników, łowczych, koniuszych, kanclerza i wielką liczbę duchowieństwa, która go zawsze otaczała.

Na żadnym zamku naówczas tyle ruchu i życia nie było. Posłańcy rozbiegali się ztąd na wszystkie strony i zbiegali tu zewsząd. Nigdzie szybciej

nie dochodziły wiadomości, z nikąd spieszniej nie rozbiegały się rozkazy.

Dwór choć po europejsku przyodziany, miał to sobie właściwego i tem od innych się różnił, że był przeważnie polskim. Arcybiskup, który pierwszy nalegał na to, aby kapłani jego świadomni byli języka ludu, oczyszczał z cudzoziemców parafie, kapituly i klasztory.

Jego też otaczali krajowcy, a Niemcy, wciskający się po troszę, zmuszeni byli i mowy się uczyć i zastosowywać do obyczajów.

Za niego dopiero po kościołach szerzej a głośniej odzywać się zaczęło słowo Boże w języku powszechnie zrozumiałym, a w kościele Ś. Wojciecha znowu polskie pieśni śpiewać poczęto.

Pierwszy on rozumiał, jak potężnem narzędziem był dotąd pogardzany język ludu. — Przykład z góry płynący potężnie działał na wszystkich. Do klasztorów, w których najwięcej miesiło się mnichów nasyłanych z niemiec, włochów i francuzów, przyjmować zaczęto Polaków.

Naówczas po raz pierwszy ozwały się pod kościołami na kazalnicach do murów przystawianych te jędrne, dramatyczne, często wesole, zawsze poruszające kazania mnichów naszych Ś. Franciszka do braci siermiężnej jak oni. Niemi ten zakon zdobył sobie miłość powszechną.

Często w nich, sami z ubogiej wyszedłszy chaty, prosty a świątobliwy człek odzywał się tak

malując obyczaje — wtajemniczony w nie, iż ludzie zasromani, wzruszeni, pokrzepieni na duchu, wracali do domów niosąc złota ziarna.

Oczekiwano w Gnieźnie na Przemysława, gotując się go przyjmować jak zwycięzcę po zajęciu Pomorza i obwarowaniu Gdańska, na który lakome oczy zwracali Brandeburgi, krzyżowi rycerze niemieccy i powinowaci zmarłego Mszezuja.

Królowa Ryksa wyprzedziwszy męża, tu nań na zamku oczekiwała. Lat dziewięć upłynionych, uczyniło ją dojrzałą niewiastą. Nie było to już śmiałe dziewczę młode z dziecięcym nieświado-  
mości zuchwalstwem, ale poważna niewiasta, w pełni sił, będąca męża towarzyszką i radą.

Ona teraz posilkowała najdzielniej Areybiskupowi w sprawie korony. Przemysław, jeśli się wahał, to tylko aby w siły rosnąc, pewniejszym był jej utrzymania. -- On i Świnka rozumieli to wreście że choćby nie długo miał nosić koronę, dźwignięcie jej i przekazanie jakiemuśkolwiek następcy, przyszłość państwa wróżyło..

Areybiskup przyjmował księżnę z wystawą książęcą. Duchaowieństwo, dwór jego, urzędnicy, wysypili się na jej spotkanie.

Zsiadła u drzwi kościoła i tu przyjąwszy błogosławieństwo pasterskie, szła do palacu Areybiskupa, który równie wspaniale a smakowniej przybrany był, niż dworec poznański.

W izbach, w których ją posadzono, ściany

całe zawieszone były tkaninami flamskimi, ko-  
biercami przedziwnie tkanemi, obrazami z Włoch  
przywiezionemi, naczyniami okrytemi emalją  
barwną i drogim kamieniem.

Świnka lubił to, co mu Włochy przypominało  
i cudzoziemskie dwory pańskie. Nie miał oby-  
czajów pieszczonych, ale co oczy ściągając ducha  
podnosiło, jak owoc pracy a myślenia ludzkiego  
cenić umiał. Widział w tem płody cywilizacji  
chrześcijańskiej, odradzającej świat z barbarzyń-  
skich rumowisk.

Pobożnie, ale zarazem wesoło wyglądały te  
komnaty lśniące przedziwnemi ozdobami. Tu ołtarzyk  
z kości słoniowej, owdzie świeczniki złociste,  
obrazy na tłach złotych, kropielnice z alabastrów  
ubierały ściany.

Księżna rozpatrywała się po izbach, w których  
wszędzie coś osobliwego ujrzeć było można,  
a i księgi porozkładane na pulpitych malowa-  
niami oczy porywały.

Wtem wszedł Arcybiskup.

W nim pod suknią duchownego, do której  
był już nawykł, znacznym był stary obyczaj ry-  
cerski. Trzymał się prosto, patrzył śmiało, siłę,  
swobodę, wiarę u siebie w każdym widać było  
ruchu. Szedł jakby czując posłannictwo mu zwie-  
rzone przez Boga.

Nim dla Ryksy i jej dworu, stół zastawiono,  
poczęła się rozmowa.

— Jeżeli nie mylą mnie rachuby moje — rzekł Świnka — książę nasz dziś przybyć powinien

— Tak jest — odpowiedziała księżna. — Dziś być musi. Znacie mnie, ojeze, iż nie jestem trwożliwą, lecz gdyby się opóźnił, niespokojnąbym była.

Czyhał i łapał Przemysława Henryk. Zagęścił się u nas zwyczaj ten chwytania ludzi i wymagania na nich męczarnią, aby się swoich praw zrzekali. Mielśmy tego przykłady. Przemysława, przyszłego króla, lękają się...

— Bóg go zachowa cało! — rzekł Arcybiskup.

— Brandeburczycy, jak wiecie, odgrają się nań. Nie śpią Zaręby i Nałęczowie... Spiskują już lat tyle.

— Najlepszy to dowód, iż nie uczynić nie mogą — przerwał Arcybiskup. — Gdyby się czuli na siłach, choć próbować by się ważyli.

— Zarębów i Nałęczów, tych wszystkich precz wywołać należało, a książę ma ich i na dworze.

— I tym sposobem ich rozbraja — dodał Świnka.

— Ja nie wierzę im! — dodała Ryksa. — Z oczów ich czytam zdradę.

Księżna pomimo odwagi swej, nasłuchiwała ciągle niespokojna.

— Ostatni przykład Henryka Wrocławskiego zawsze mi stoi w pamięci — dodała — choć głucho tylko wiem o tej sprawie.

— Nie wesola to powieść, — wtrącił stojący blisko kanclerz Wincenty — ale ciekawa.

Księżna szukająca roztargnienia, zażądała aby ją opowiedziano.

Kanclerz namyślał się nieco.

— Tak — rzekł — powieść to smutna, ale nauczająca. Ja może lepiej ją znam niż inni. Nie pierwszy to przykład podstępnych napadów i wzięć okrutnych, ale do niej wchodzi i historia naszego Ludka, warta pamięci.

Kanclerz pomilczawszy rozpoczął powołać:

— Bóg da może, iż z tego stanu oplakanego wyjdziemy. ale dziś współzawodnictwo książąt i chciwość posiadłości, do czego doszły.. potomni wierzyć nie zechcą.

Wiadomo wszystkim, jak z sobą żyją Słazcy książęta, którym niecny Rogatka był przykładem. Brat na brata gorzej wilków czyhają.

Henryk Wrocławski i Lignicki najsilniejszy, był też celem zamachów własnej rodziny, zazdrościącej mu panowania Konrad Głogowski, Bolko Świdnicki, spiskowali przeciw niemu — Bolko, który sprzymierzeńcowi swemu pomoc przyrzekał nie dawał nic oprócz przyrzeczeń, coraz tymczasem wyludzając za nic jakie szmat ziemi. To miasteczko, to grodzik, to powiatu kawal zagarnął, nie dając nic.

Ciągnęło się to długo, aż Konrad sobie przypomniał, co robili Rogatka i Henryk starszy..

zmiarkował, że najłatwiej zdradą chwycić człowieka, umęczyć go, i zmusić, aby ratując życie, oddał bodaj wszystko co ma.

Na dworze Henryka, był zdawna w wielkiem znaczeniu, do Rady wzywany, mąż rozumny Pakosław, rodem z Abdanków, a jak się to trafia gdy kto w laskach będąc potrzebnym się czuje, Pakosław nawykł był księcia Henryka samego lekceważyć sobie, a na jego powadze się opierając, z ludźmi poczynać samowolnie.

Miał Pakosław sąsiada, rycerskiego stanu człowieka, Różę — z którym o znaczną przestrzeń lasów na granicy w sporze byli oddawna. Odgrązał się nań Pakosław długo, mocnym się znając, aż gdy mu jego łąki koszono, napadł Różycę i zabil.

Morderstwo było jawne, utaić go nie sposób. Zapozwali synowie zabitego mordercę przed księcia. Henryk się tem zgryzł mocno, bo radby był uniknąć karania człowieka, którego milował, a niesprawiedliwym okazać się nie chciał.

Dumny Pakosław tak pewnym był, iż mu się nie stać nie może — że z synami zabitego o głowę układać się nie chciał.

Nadszedł dzień sądu. Przynieśli ciało synowie z płaczem, narzekaniem, całym rodem idąc, przy wielkiem zbiegowisku ludu. Morderstwo było jawne.

Pozwany Pakosław stanął zuchwale przed księciem i ufając sobie rzekł:

— Tak jest, zabiłem zuchwałego ziemianina, nie zapieram się — zabiłem go.

Krzyk zaraz podniesiono, domagając się sprawiedliwości. Ta inaczej wypaść nie mogła, tylko głowa za głowę. — Wielce zafrasowany książę, przywołał Pakosława do siebie i rzekł mu — naradz się ze swemi, sprawę zagodź, albo tłómacz się inaczej.

Wyszedł potem z sądu, dając czas obwinionemu. Ten wcale z zuchwalstwa swego nie ustępując, pewien tego, że u boku księcia wysokie stanowisko zajmował, a był wyższym nad prawo, zapytany powtórnie — odezwał się:

— Zabiłem go.. nie zapieram się.

Ks. Henryk popadł w gniew wielki, bo wyzywał go niemal — i rzekł mu:

— Nierozumny człeczko, oszalałeś chyba! Własnymi usty wydajesz na siebie wyrok śmierci. Odejdź precz ztąd. Ostrzegam cię po raz ostatni, ocal żywot własny!

Otrzeźwij, wróć do rozumu, inaczej zmusisz mnie, że zamiast panem łaskawym, będę sprawiedliwym sędzią.

Pakosław jakby istotnie zmysły postradał, ufając jeszcze, iż książę nań wyroku wydać nie może, pomimo przestrogi — powtarzał ciągle.

— Zabiłem, więc zabiłem!!

Nie można było wymódl na nim, aby tę mowę płochą odmienił. — Rodzina zabitego nalegała,



dwór i lud patrzył na to, przebaczyć i pobłazać nie było w mocy księcia.

Dał znak. — Wyprowadzono Pakostawa wschodami w podwórze Lignickiego zamku i tam go, wobec wszystkich ścięto. Do ostatniej chwili urągał się i szydził.

Książę, który kochał go bardzo i nawykł do niego, po śmierci człowieka, który przyjacielem mu był, utulić się nie mógł w żałości. — Synka jedynaka sierotkę Ludka, wziął jak własne dziecko na wychowanie, trzymając przy sobie i obsypując łaskami.

Dziecko to, które na śmierć ojca patrzyło, i potajemnie chustę we krwi jego zmoczywszy, nosiło ją zawsze na piersi — poprzysięgło zemstę księciu. Wiedzieli o tem niektórzy na dworze i ostrzegali pana, aby nie trzymał przy sobie niebezpiecznego wyrostka.

Książę słuchać ich nie chciał, wierzyć nie chciał, starał się owszem coraz większą ujmować go dobrocią. — Na ostatek gdy nalegać poczęto, żeby był od dworu usunięty, książę szczerze i otwarcie się z nim rozmówił, okazując mu, że ojciec jego sam śmierci swej był przyczyną, a on, choć chciał ocalić go, nie mógł. Dał mu tedy do dwóch miesięcy czas, aby się namyślał i — albo się wyrzekł zemsty za śmierć rodzica lub się oddalił od dworu.

Po dwóch miesiącach Ludek przyszedł oświad-

czając publicznie, że wie, iż ojciec jego sprawiedliwie był ukarany, poprzysięgając mroczyscie na krzyż i ewangelję, iż śmierci ojca słowem ni czynem, jawnie, ani potajemnie, nigdy w żaden sposób nawet nie przypomni, nie będzie się użalać, ani zemsty szukać za nią. Prosił księcia, aby nieufność przeciw niego zaniechał, ofiarując mu się służyć wiernie.

Książę, który go kochał, rozplakał się, uścił go, i zapewnił, że w nim znajdzie drugiego ojca, a on i cały ród jego ród wdzięczność winni mu będą.

Od tej chwili, jak dawniej Pakosław, tak teraz Ludek w nadzwyczajnych był laskach. Nicodstępnie księciu towarzyszył, a dwór mu cały zazdrościł, bo go nad innych pan przenosił i nadzwyczajnie obdarzał.

W duszy jednak dziecka pamięć ojca zawsze żywą była — i chusty krwawej z piersi nie zrzucił.

Stało się, że Konrad Głogowski wiedząc o tem, postarał się zbliżyć do niego. Zaraz za pierwszym razem napomknął mu o ojcu, dziwując się, iż służyć mógł panu, który winien był śmierci jego, że nie starał się jej pomścić.

Tak powoli dawne pragnienie zemsty w nim rozżarzył, że Ludek zmówiwszy się z Konradem, uknuł napaść na pana swego. Wywiódł go do kąpieli nad Odrą blisko Wrocławia, gdzie już ludzie w zaroślach nastawieni czekali. Dworzanie

księcia domyślając się już czegoś a podejrzewając Ludka ostrzegali wczas, aby z nim nie jechał. Na co im śmiejąc się odpowiedział.

— Możecie być spokojni, Ludka pewien jestem, ani się go boję!

Tu księcia w łaźni rozebranego, Ludek dawszy hasło napadł, a gdy czeladź przestraszona się rozbiegła i jeden tylko wierny dworzanin go bronil, którego skłuto i na śmierć zarąbano — porwano nagiego księcia, wsadzono na koń, ledwie mu lachman jakiś dawszy do okrycia i popędzono z nim dniem i nocą do zamku Sandwocia, gdzie Ludek niepocziwy oddał go Konradowi. Ztąd odesłano nieszczęśliwego do warowniejszego Głogowa, na straszną męczarnię, której wierzyć trudno, ażeby się mógł dopuścić blizki powinowaty, gdyby ludzie na oczy jej nie widzieli, a ofiara nie przyplaciła życiem.

Ponieważ Henryk wielkiego ducha był i na nie przystać nie chciał. nie dosyć, że go okuto w kajdany, że go wrzucono do smrodliwego lochu, ale zamknięto go w umyślnie zrobionej klatce, w której otwór był tylko, przez który mu nędzną podawano strawę. tak że nie mógł ani leżeć, ani stać i jakby zawieszony w niej, poruszyć się nie mogąc, z boleści jęczał dnie i nocę.

Pomimo tej katuszy nie dawał się Henryk złamać, nadaremnie na nim wymódz chcieli ustęp-

stwa, trwał w swoim. Raczej umrzeć, niż się poddać.

Pół roku chodzili doń Konradowi kaci nragając się, pytając czy już ma dosyć, odpowiadał im klątwami i lajaniem. Nareście siły tracić zaczął, ciało całe okryło się ranami, boleści znosił męczeńskie, życie zdawało się uchodzić — i zgodził się na wszystko czego żądano. Okup cały skarb jego wyczerpał, bo trzydzieści tysięcy grzywien wynosił i ziemi musiał dodać wiele. Konrad nie dowierzał czy mu zapłacą, kazał więc sobie liczyć pieniądze na środku mostu na rzece Czarnej pod Lignicą i dopiero go wypuścił.

Gdy klatkę otwarto i puszczono z niej nieszczęśliwego, ani stać o swej sile, ani chodzić już nie mógł. Zamesiono go na wóz wysłany chustami i pół żywego odwieziono do Wrocławia.

— I więcej już zdrowia nie odzyskał! — dodał Arcybiskup. — To jeden tylko straszny przykład tego, co się tu dzieje na ziemi naszej, a jest podobnych nie mało i położyć temu koniec może tylko jedno królestwo niepodzielne, jeden pan któremu by wszyscy ulegali. Tak chciał mieć ów Krzywousty, którego myśli nie zrozumiano, czy spełnić nie chciano. A gdy raz dzieło poczęto, przyszło do tego, iż się ludzie zabijają i krwią oblewają dla kawałka ziemi.

— Nie dziwujcież się trwożną mnie widząc —

dodała księżna. — Dziś wszyscy zastraszeni koroną, swoi i obcy czyhają na niego.

— Swoich i obcych z Bożą pomocą pokonamy — rzekł Arcybiskup spokojnie. Widomym znakiem woli Bożej będzie korona Chrobrego, której blask wrogów rozproszy. —

To mówiąc Świnka przeżegnał stronę, z której się księża spodziewano i Ry ksie kazał być dobrej myśli.

Wysłano gońców, aby się dowiedzieć o wracającym i nazajutrz, zbliżanie się jego oznajmiono.

---

## IX.

Przemysław spieszył z powrotem i miał już do Gniezna jeden tylko dzień podróży, naprzód bowiem wyznaczono popasy i noclegi, na których go ziemianie oczekiwali, gdy w jednej ze wsi już na własnej ziemi, znalazł niespodzianie większą liczbę rycerstwa okolicznego. jakiego się tu nie spodziewał.

Przyjmowano go z radością wielką, bo to byli najwierniejsi jego ziemianie, ci właśnie co dlań Ołobok odzyskali, starzy towarzysze Bolesława Pobożnego i Przemysława ojca.

Nim zsiadł niektórzy go już na koniu jadącego w kołana całowali, czapki podrzucali, wykrzykiwali go księciem polskim i pomorskim. A że wioska do jednego z nich należała, starego

Gozdawy, i on i ród i powinowaci i przyjaciele zastępywali drogę pann.

Ludziska byli dobrzy, serdeczni, do pana po swojemn przywiązani.

I księciu serce się otworzyło na widok tych twarzy rozweselonych, rąk powyciąganych, nst uśmiechających się do niego.

Dla pana i dla dworu stały już gotowe stoły, beczki na krzyżowych nogach i czego dusza mogła zapragnąć. Osobny namiot rozbito dla księcia, pod który zaproszono go dla spoczynku. Tu oprócz Tyszka Gozdawy, całe grono starszych otoczyło go z miłością wielką.

Winszowano mu Pomorza, życzone żywota długiego, spodziewano się doczekać męckiego potomka.

Wśród tych życzeń i powinszowań, lačno jednak poznać było, że im coś na sercu leżało, z czem się odkryć nie śmieli, poglądając po sobie — odkładając, wahać się.

Dopiero gdy już misy zdjęto, a kubki z miodem dolewano, który lepiej niż piwo głowy zawracał i męztwa dodawał, (dla czego ojciec Przemysława nigdy miodu nie pijał), wystąpił Tyszko sam pijąc zdrowie państwa i długi żywot jego a szczęśliwe panowanie.

— Miłościwy panie nasz! — odezwał się wesolo — myśmy tu dzieci twoje drogę ci zastąpili, aby obliczem się twem pocieszyć, win-

szować ci, życzyć — ale jako dzieciom pozwól odezwać się szczerem słowem.

— Wolność to przecie było zawsze, każdemu, cóż dopiero Wam, stary mój! — rzekł Przemysław bijąc go po ramieniu.

— Ciężko mi się to z gardła dobiedzie — odezwał się Gozdawa — ale kiedy trzeba to mus.

Wiemy to, miłościwy panie, że Was arcypasterz nasz do korony i królestwa prowadzi i że Wy jej godni jesteście — ale ludziom serca drżą obawą.

Korona Wam da wielkość, a ona nieprzyjaciół i zazdrosnych ściągnie. Panuj ty nam jakoś jest możliwym księciem, my cię i tak za króla sobie mamy — a nie wyzywaj złych i zawistnych.

Przemysław słuchał z powagą wielką, lice mu się zachmurzyło.

Miał to w naturze swej, co wielu jemu podobnych, iż właśnie gotów był tego najgoręcej pragnąć co wzbronionem było lub się trudnem okazywało. Tak pierwszy raz korony zażądał w więzieniu siedząc, a teraz gdy przed chwilą wahał się czy jej miał się dobijać — obawa drugich jemu dodawała mężstwa.

Gozdawa osłodził jak mógł, to co wiedział iż gorzkim się wyda.

— Kochany ojciec nasz — dodał. — Mybyśmy ci nie jedną a dziesięć koron przynieść radzi, ale wielkość nie zawsze daje szczęście i moc, a zaw-



sze ludzi w oczy kole. Już niepoczeiwi ci Zarębowie i Nałęze po kraju biegają a noszą, że ty nam nie ojcem chcesz być, ale panem surowym i że korona dla ciebie, dla nas znaczy kajdany. Nie wierzym my w to, ale płochy lud a warchoły się burzą.

Mała to rzecz bo nas więcej cośmy tobie wierni i złych zmożemy, ale Brandeburgi, Ślązaki a wreszcie i ów Łoktek co się z Czechem rozbija, niepokojny mały człeczek silnej dłoni i ducha — wszystko to się korony przełęknie. My się o Was, miłościwy nasz, trwożemy, bo cię kochamy.

— A! — przerwał wesoło Przemysław, zwracając się do Tyszka — ja nie mam trwogi! Ojciec nasz Świnka chce korony tej dla spokoju i dla mocy jednej — ja jej nie sobie pragnę ale ziemiom tym rozerwanym i bolejącym.

Wierzcie, że korona nie zmieni mnie. Jakim byłem takim zostanę, a bez Rady, Comesów moich i Baronów przyczynienia się nie będę stanowił nic. Dla ziemian ojcem będę zawsze...

Że wrogowie poczują trwogę dobrze jest!! Przyjdzie z nimi wojować — tego chcę! na to miecz i pas rycerski noszę! Złego mi się nie stanie nic, bez woli Bożej, a co wola Boża tego nie ujdzie nikt!

Gozdawa zamilkł, wysnnął się Antek Poraita niemłody toż, bo wnuki miał dorosłe.

-- Spomniał brat Tyszko o Zarębach, miłościwy paunie — odezwał się — my ich znamy,

ludzie są źli a możni. Macie li ich co na dworze, albo i Nałęczów, każcie im precz iść.

Nie zważał pewnie na to Poraj, że Nałęcz którego Krzyżem zwano, bo miał z wojny na lieu bliznę czerwoną, gdyby krzyż, stał tuż. Ten zerwał się oburzony.

— Za co nas wszystkich zdrajcami za jednego robicie? Jam ci też Nałęczowego zawołania i z tych co krwawą chustę na szczycie mają nie białą — alem panu wierny i nie dopuszcze, aby nam w oczy plwano.

Zaczęło się burzyć bo pod namiotem Nałęczów i Zarębów nawet było dosyć, a wszyscy się jeli za swoją cześć njmować, aż książę musiał milczenie nakazać i rzekł.

— Ja wierność waszą znam i niepodejrzewam — ale i tym co koło mojego bezpieczeństwa stoją za złe ich troski wziąć nie mogę.

Milczcie więc, gdy ja nie obwiniam.

Lecz nie łatwo było uspokoić rozdrażnionych, a Poraj dolożył jeszcze.

— Tak ci to Ludek Pakosławowy syn przysięgał, że za ojca się mścić nie będzie, przecież Henryka na męki zdał...

I zakończył głośno:

— Za złe nam nie miejcie, miłościwy, że my się korony obawiamy aby ona jak Zbawicielowi Pann cierniową nie była. Tyś nam w książęcej czapce królem.

Drudzy poczęli wołać, aby zdrów był i panował im łaskawie, na co książę klaniając się, kubkiem w koło wodząc i przepijając odpowiadał rad bardzo.

Wszczął się rozhovor poufalszy a weselszy, bo ludzie się z sobą wprędce jednać zaczęli, a w duszy Przemysława stało się to czego pewno ani on ani się nikt nie spodział — wstąpiło w nią męztwo, wielka ochota do korony, gotowość wzięcia się na wszystko aby jej dostać.

Gwarzono tak, gdy około namiotu w którym siedział książę, zamieszanie się jakieś wszczęło i gwar... W dali gromadny tentent koni słychać było.

Popas ten przy dobrej myśli przeciągnął się nad miarę, wieczór nadchodził a do noclegu ciągnąć daleko było i już tu myślano pozostać, choćby się opóźnić do Gniezna.

Wyjrzeli siedzący w namiocie co tam zaszu miało i spostrzegli w dali jeszcze na gościńcu spory oddział jazdy, który ku obozowi pospieszał.

Stawała ta gromadka, rozpytywała po drodze i zbliżała się do namiotu. Nikt nie mógł zgadnąć jeszcze, swoi to byli czy cudzy. Obawy żadnej mieć nie było o co, bo kupka nie wielka szła — niewiadomo tylko z kim i poco.

Gdy się tak od namiotu rozpytywano, rękami od zorzy zachodniej zasłaniając, a dobadać się nie mogąc — jezdni zbliżyli się tuż. Część ich

została w tyle, a jeden na koniu wyrwał się przodem i wprost pod sam namiot książęcy podjechał.

Ci, co go choć raz w życiu widzieli, łatwo poznać mogli, bo do pospolitego rycerstwa wcale nie był podobny, a wśród stu drugiego takiego wyszukać było trudno. Wzrostu bardzo malego, krzepki jednak i silny, koniem władający jakby olbrzymem był, człeczek ten z twarzy marsowato wyglądał, a oczy miał jak dwa węgliki rozpalone.

Na nim kaftan, zbroja, suknia, pas, helm, wcale były niepoczesne, potłuczone, stare. Mimo to leżało jakoś dobrze i mały pan miał zuchwałą postawę.

Sama twarz za człowieka i za wzrost stała. Oczy bystre, czoło wypukłe, nos rzymski, usta małe, choć nie pięknym, czyniły go takim, że kto nań raz popatrzał, nigdy nie zapomniał tego oblicza.

Ramiona trochę podnosił do góry, jakby się chciał większym uczynić niż był, a był jak na rycerza maleńki bardzo — ale za to ręce jak żelazne koniem miotały, nogi obejmowały go jak kleszcze. Pod nim szkapa była nie zbyt rośła, gruba, mocna, piersista, z grzywą długą, z nóżkami cienkimi, tak zwawa jak i pan co na niej siedział. Okurzony przybywał, zbryzgany, i jakby z długiej podróży, ale nie zmęczony wcale i twarzy pogodnej, z której życie i męstwo tryskało.

W koło zaraz wszysey powtarzać zaczęli.

— Łoktek! Łoktek!

Tak przezywano Knjawskiego księcia, który pod ten czas właśnie z Wacławem Czeskim bił się do upadłego, pożyć mu się nie dając. Zнали się oni z Przemysławem, jako powinowaci blzcy, a Łoketek za żonę miał Jadwigę, Bolesława Pobożnego córkę, którą Przemysław jako rodzoną siostrę miał i kochał.

Dawniej i oni miłowali się wielce — ale teraz? Przemysław ruchawego Łoktka lękał się, aby mu do korony nie mącił.

Nie widzieli się dawno i nie spotykali, bo Łoktek prawie od dziecka wojował i dobijał się władzy, a jak mały był, tak niezmordowany i niepokonany.

Zkąd się tu teraz wziął — domysleć się trudno było. Zdumiał się książę zobaczywszy go, wiedząc, że pokoju z Czechem nie miał. To go gnał, to przed nim uchodził — nie ustając na chwilę.

Spojrzeni na się uśmiechnął się jakoś dziwnie Łoktek. Skoczył potem z konia, a gdy na ziemi stanął, aż śmieszno było tak się małym, wśród tego rycerstwa wydawał.

Podał sobie ręce dobrze patrząc w oczy.

— Gościem mi jesteś nie czekany! — odezwał się Przemysław.

— Nie z dobrej woli — jędnym głosem, żywo odparł Łoktek. — Tatarzy bestyje znown Sandomierskie pądrują . poganie przekłęci. Włóczę się zbierając ludzi! Zasłyszałem, że od Pomorza ciągniecie, zbiegłem aby się pożalić z dołą moją. Mało mi było Czechów, Bóg zesłał Mongołów.. tej naszej biednej ziemi pokoju nigdy.

Weszli pod namiot razem. Twarz Przemysława oblokła się jakby cieniem, dumy trochę i zazdrości nieco czytać z niej było można, miłości mało lub nic. Mały ten człeczek mu zawadzał.

Łoktek jak był z drogi spragniony nie pytając pierwszy kubek nalany schwycił i wypił. Zdjął żelazny hełm ze skroni i czoło z potu począł ocierać. Przemysław patrzył nań posępnie.

Ten już w namiocie jak u siebie w domu gospodarzył, ławkę pod siebie podsunął, uczepił się na niej jak na konin, do chleba sięgnął i kawał go sobie ukroił.

Książę skinął, aby strawę jaką przyniesiono.

— Srogoż tam pustoszą Tatarowie? — spytał.

— Wedle obyczaju swego! palą i niszczą a młodzież gnają kupami. Gdyby mi gdzie Czechów pochwycili i potłukli.. ale.. nie! Ci w Krakowskie ujdą, a dziec ta gonić za nimi nie będzie!

O! Sandomierz! Sandomierz biedne miasto — tego nigdy nie miną! A co wsi poszło w perzynę!

Podniósł twarz, na której gniew się napiętnował straszny.

— Plakać bym powinien — dodał — ale tego nie umiem! Zły jestem, zacinam sobie znaki, ile zemsty komu winien będę! Powoli popłacę moje długi.

Popatrzał na chłodno milczącego Przemysława jakby go badał, ten wzajem ściganemu przez Czechów i Tatarów rycerzowi małemu, który w niedoli męstwo całe zachował — przyglądał się nieco zdumiony.

Po małym przestanku — Łoktek dorzucił.

— Wiecież po com ja gnał za wami?

— Zkądże mam wiedzieć? — sucho odparł książę...

— Pomyślałem sobie — rzekł Łoktek — że ty pokój masz, ludzi wiele karmisz darmo, mógłbyś mi pomódz niemi? Po Tatarach żołnierza mi będzie trudno dostać, a Czechów pobijwszy dobijać trzeba, aby im smak od naszej ziemi odszedł.

Przemysław potrząsł głową — widać było, że proście nie myśli za dość uczynić.

— Mówicie, że ja pokój mam? — odparł powoli. — Właśnie taki jak i ty, a większego kraju bronić muszę. Brandeburczyki czekają tylko, aby mnie słabszym zobaczyli., ze Ślązkiemi mam rachunki, w Pomorzu i od Rauskiego księcia i od Krzyżaków muszę się mieć na pieczy. Gdyby mi kto pomoc dał, przyjąłbym ją!

Łoktek zdał się słuchać dosyć obojętnie.

— U ciebie wojny nie ma jeszcze — odparł — a jam swoją począł, no i nie skończę jej, aż

wszystkich pokonam! Plotło się różnie ze mną, co mi Bóg gotuje, nie wiem — ale zmódz się nie dam nikomu, ani nastraszyć! Małym mnie Pan Bóg stworzył, muszę się wielkim stać sam!

Rozśmiał się. — „Muszę“, to wyrzekł z taką siłą, iż Przemysławowi mimowoli podniosły się ramiona. Zuchwalstwo to budziło w nim zazdrość.

— Trudno z Bogiem wojować! — szepnął trochę szydersko.

— Ja też nie z nim a z ludźmi się ucieram — rzekł Łoktek. — Za dużo u nas obcych! za dużo! Rozpostarli się i zagarniają coraz więcej. Mazowieccy nasi bracia, sami najgorszemu wrogowi wrota otwarli, a jeszcze go na własną krew prosili w goście!

Rozsiadają się Brandeburgi, wparł się Czech bezprawnie — na wsze strony opędzać się trzeba.

Pomileczał trochę zamyślony i w stół uderzył.

— Nie damy się! Bóg łaskaw!

Mówiąc to jadł żywo i żarłocznie jak głodny, nie dbający o to, czem się posili

Widać w nim było zaprzątnięcie myślami wielkimi, a lekceważenie reszty. Obok Przemysława nzbrojonego i odzianego wytwornie, ten ze stroju i oręża ledwie się prostym ciurą zdawał. Na szyzaku nie miał nic, zbroję prostą, poczerniałą, na której ślady razów od mieczów i kopij widać było, suknię z grubej tkaniny, płaszcz barwy cie-



mnej, miecz w żelazo oprawny. Wszystko to trwale było, mocne a jak on nie bijące w oczy.

Przemysław ze swym wzrostem, postawą księżęcą, suknią oszywaną, pasem złoconym, zbroją rysowaną i szmelcowaną — gasił go pozornie, Łoktek mały, niepoczesny, miał życia więcej.

W czasie rozmowy, Gozdawa i inni ziemianie za namiot się wysunęli, zostawując ich samych.

Łoktek wprędce głód zaspokoivszy i pragnienie, usta otarł, przeżegnał się i zwrócił ku Przemysławowi.

Błysnęły mu oczy dziwnie.

— Co prawią ludzie — rzekł — prawda-li to, że wam Świnka chce koronę dać?

Trochę ironji było w głosie jego.

Przemysław odprostował się dumnie.

— Czemużby nie? — odparł powoli. — Część wielką dawnego państwa Chrobrego mam pod sobą... a resztę — —

— Cóż my naówczas poczniemy? — rzekł mały książę.

Zamienili spojrzenie.

— Włożyć koronę — dodał — nie tak ci to trudno — zamruczał — ale nosić!

Przemysław czoło uniósł ku górze, nie chciał odpowiadać już.

— Postarajcie się o następcę — dodał mały — a jakby go nie stało wam, przekażcie mnie...

Rozśmiał się. — Przemysław coraz więcej chmurzył.

— Tak — rzekł. — Syna dotąd nie dał mi Bóg! Córka jedna... Od lat siedmiu nie mam potomstwa...

Na tem przerwała się rozmowa, oczyma się tylko mierzyli, sparty na ręku Łoktek dumał.

— Próżnom więc za wami gonіл — rzekł jakby sam do siebie. — Wiem już, że ludzi mi nie dacie.

Pójdę ich zbierać po jednym!

Ciężkie to życie, alem ja jak wy, do pieszczotego nie nawykł, spoczynku nie lubię, znoszę jak prosty chłop, głód, chłód, trud, wszystko byle na swem postawić. Mnie gdyby z miękkim łóżem w kobiercami wysłanej komnacie, choćby z najpiękniejszą dziewczką zamknięto, na dłużej jak na dobę, przez dach bym się wydarł, takby mi próznica prędko zmierzła!

I śmiał się swawolnie.

— Nie pogardzam ja, jak ty, dziewczyną hożą choćby jak Mszczujowa z klasztoru wziętą — a na długo przy kądzieli nawet i podwice gnuśnieć bym nie mógł. Ruszać się bo muszę!

Na wspomnienie to swawolne, Przemysław się namarszczył. — Od śmierci Lukierdy, od małżeństwa z Ryksą, na żadną niewiastę spojrzeć się nie ważył. Rozmowa w tem przykrą mn była. Rozwiązły podówczas Łoktek, chmurę tę na twarzy księcia zrozumiał i zamilkł.

— Tyś się widzę — dorzucił poczekawszy — enotliwym bardzo stał i Pudyka chcesz naśla-

dować — czemu nie? i jabym takim rad być, ale poczekawszy...

Rozśmiał się znowu, z ławy zeskokczył, chodzić począł jakby wcale jazda go nie utrudziła. Po namiocie się kręcił coraz coś chwytając i przypatrując się wytwornej broni i zbroi.

Noc nadeszła, musieli oba pod jednym ją przebyć namiotem.

Łoktek oznajmił, że dla ludzi i koni noc musi dać na spocznęk, ale do dnia nazad ruszy, aby nowe robić zaciągi, gdy mu nikt w pomoc przyjsć nie chce.

Z wesołą myślą i daleko swobodniejszy od Przemysława, który ani pobitym był, ani mu kraju Tatarowie nie pustoszyli — leżał Łoktek spać opończą się owinąwszy, i nakazując zbudzić się o brzasku.

Przemysław też ze dniem wyruszyć miał w dalszą drogę.

Gdy się z rana obudził, towarzysza swojego nie znalazł już w namiocie, ślad tylko kędy spoczywał. Opowiadano, że o świcie spać już nie mogąc, czekać nie chcąc, wymknął się do swoich i puścił ku lasom.

Żegnany przez ziemian okrzykami, książę ze słońcem dopiero ruszył ku Gnieznu.

Podróż tę jednak rozmaite przeszkody, jakby nymyślnie opóźniały.

Towarzyszący mu wojewoda poznański, który

panu o tem nie mówiąc zasadzki się obawiał, gdy dnia tego las zwany Czarnym, gęsty a niebezpieczny do przebycia, przejeżdżać mieli, przodem wysłał ludzi, aby drogę opatrzyli. Zbytnią tą ostrożność, z której się śmielsi naśmiewali, okazała się jednak potrzebną.

Wysłani przodem powrócili z wiadomością, iż u brodu i trzęsawie w lesie zaczajoną była kupa zbrojna. O ile poznać mogli, zdawała się złożoną z Brandeburskich Sasów, Zarębów i Nałęczów, w znacznej liczbie przy nich będących.

Zatrzymano się radząc co czynić. Sił tej zasadzki w gęstym lesie obliczyć nie było można, ale helmów i kopij sterczyło dosyć w zaroślach. Chciał Przemysław iść, uderzyć na nich, albo z boku ich zająć, lecz trzęsawisko i moczary nie dopuszczały przystępu.

W lesie, gdzie i drzewa mogły być poobalane i zasieki przygotowane, rozpoczynać walkę ścisniętym, nie zdało się bezpieczne. Wojewoda radził zasadzkę obejść dłuższą drogą, a później jeśli by nie uszła, osaczyć ją z większą siłą.

Przemysław chciał przebojem iść, wstydząc się tej ucieczki, nie bardzo nawet wierzył w doniesienie.. Rycerstwo skłoniło go, że poszedł za radą Wojewody.

Po długich targach ruszono dobrze w lewo kołując i nakładając drogi, brzegiem jezior i piaskami. Przemysław w ten sposób zamiast o pół

dniu, zaledwie na noc mógł stanąć w Gnieźnie, gdzie nań niespokojnie oczekiwano.

Świnka wyszedł naprzeciw niego do przed-sieni, stała Ryksa z córeczką, którą umyślnie do ojca wyprowadziła. Była ta jedynaczka tym samym losn trafem, który matce jej dał rysy zmarłej Lnkierdy. jeszcze większe do męczennicy mająca podobieństwo, jej nawet naturę trwożliwą, milczącą i smutną.

Z twarzą, którą starał się uczynić wesołą, Ar-eybiskup o zasadzce już uwiadomiony, wprowadził do komnat księcia. Nie mówił on sam nic o niej, gdyż w drodze rozmyślając przyszedł do przekonania, iż u stracha wielkie oczy, i dwór jego więcej widział niż było.

Kupka jakaś zbłąkanych włóczęgów mogła być za nieprzyjaciół wzięta. Okazało się jednak, iż było inaczej. Wojewoda zabrawszy ludzi, nocą pobiegł na to miejsce, w którem widziauo zasadzkę. Z nienacka napadnięci Brandeburezyey, posądzając Zarębów o zdradę, poszli zaraz w rozsypkę

Wojewodzie, który się głównie na Zarębów i Nałęczów kusił, udało się ich dwu pochwycić, i tych na koniach twarzami do ogonów poprzywiązywanych, wieczorem przywieziono do Gniezna.

Krótkim sądem pochwyconych na gorącym uczynku zdrady i posilkowania nieprzyjacielowi, Przemysław ściąć kazał.

Zaledwie się to stało, gdy reszta Zarębów i Naleczów, która przy bokn pana była jeszcze — ci właśnie, co na popasie w Woli wierność poprzysięgali — następnej nocy zesła precz, tak że z tego rodu nikt nie pozostał.

Powstało ztąd zamieszanie chwilowe i niepokój między ludźmi, lecz wojewoda powagą swą go przytłumił. Arcybiskup i książę cieszyli się owszem, że podejrzanych się pozbyto.

Świnka tym czasem ziemian okolicznych zwoławszy, starszyznę z Kalisza i Poznania, duchowieństwo, na którego czele stanął, do stanowczego zniewolił kroku.

Ryksa wiedziała o tych przygotowaniach, domyślał się ich zapewne książę.

Wielka izba na zamku dnia tego była natłoczoną, komnaty sąsiednie i ganki ziemian pełne, których wojewodowie i kasztelanowie prowadzili. Wszysey urzędnicy ziemscy, dworscy, Arcybiskup i biskup poznański, kapituły, duchowieństwo, oczekiwały na Przemysława.

Na przedzie w szatach uroczystych Świnka z krzyżem w ręku witał wchodzącego pana. Wskazał na poważne zgromadzenie i — ozwał się.

— Miłościwy książę, oto cały lud twój i ja jako Ojciec duchowny ziem twoich, przychodzimy jednogłosem prosić cię i wezwać, abyś dłużej nie zwlekał z przyjęciem królewskiej korony, która ci z prawa należy.

Wdziej ją na skronie twe i niech ci ona da nową siłę, abys nam w pokoju panował i rządził. Przypasz miecz przodkowi twemu przyniesiony przez anioła, abys nim zwycięzko nieprzyjacioly wojował.

Tu, na dany znak przez Arcybiskupa, ozwały się okrzyki wielkie i wywoływania. Podnoszono ręce, rzucano czapki, uniesienie ogarniało tych nawet, co chłodni lub wahający się przyszli. Poruszyły się serca, otwarły usta, jakaś nadzieja wielka wstąpiła w nie, jakby korona ta z grobów i mroków dobyta, potęgę z sobą przynieść miała.

Stał ksiązę milczący, poruszony, blady, Ryksa dumna i wesolo spoglądająca.

Poczęła się cisnąć starszyczna, otaczając pana, a on też zagrzany miłością, którą mu okazywano, podniósł rażniej czoło.

— Stanie się więc po woli ojca naszego Jakóba i was wszystkich. Nie czuję się ja godniejszym korony tej od pobożnej pamięci rodzica mojego, od tych, co mnie poprzedzili — ale palec w tem widzę Boży...

Uścisnął go Arcybiskup, okrzyki się podniosły znowu po izbach, dalej w podwórcach, w których dużo ludu zgromadzonego było. — Ten wnijsć wszystek nie mogąc, szeroko się tu rozkładał. Postawieni już wprzód trębacze i fleciści zaczęli wygrywać wesóło.

Stała się radość jakaś wielka, jakiej ludzie nie pamiętali, a oczów wiele zaszło łzami.

Wtem Arcybiskup Bogu na podziękowanie do kościoła już wiódł, gdzie duchowieństwo zanucilo hymn i tak owo królem okrzyknięcie uroczystym aktem kościelnym się skończyło.

Gdy wszyscy do katedry ciągnęli, na wałach, w tem miejscu, gdzie dwu zdrajców świeżo stracono, stali dwaj ubogo ubrani ludzie, z twarzami blademi, smutni, przypatrując się zdaleka.

Michnie usta złem szyderstwem drgały, Pawłek był groźno namarszczony.

— Przysięgam ci! przysięgam, — mruczał Zaręba — krótka to będzie radość, a skończy się kąpielą krwawą.. Nasza krew i niewinnej pani Lukierdy pomszczoną zostanie!

Chwycił ręką garść mokrej ziemi i ścisnął ją, jakby z niej krew, co ją zboczyła chciał wydobyć, łzami zaszły mu powieki.

— Ciescie się i tryumfujcie. — wołał — Pomsta Boża nie śpi! Szyję dam, cześć dam, nie ja jeden, wszyscy my, a pani zamordowana i bracia nasi będą zemszczeni!

Z kościoła rozchodziła się pieśń głośna, wesola, a Zaręba jak nieprzytomny z szalu powtarzał ciągle.

— Będą pomszczeni!



Przecisnęli się potem niepostrzeżeni przez tłumy, wyszli za wrota, dosiedli koni w małej szopce zostawionych i manowcami pociągnęli ku lasom

Tegoż dnia postanowiono, że w dzień Świętych Jana i Pawła, obrzęd koronacyjny odbyć się miał w Gnieźnie, dokąd biskupi z całej Polski zjechać mieli.

## X

Piękny był ów dzień 26 Czerwca 1295 roku, gdy wiosennego poranka niezliczonym tłumem ziemian ze wszystkich polskich krajów i z Pomorza przybyłym, okryły się nie tylko podwórca zamkowe, wały, podwala, ale okolice, na których obozy i namioty legły niezliczone.

Staral się o to stróż i opiekun starej korony Świnka, aby uroczystość która po tak długich latach wznowić miała pogrzebiony w krwi św. Stanisława majestat królewski — świetną była a głośną.

Zwołał więc wszystkich biskupów, którzy przybyć mogli, Jana z Poznania, Jana Romkę z Wrocławia, Gosława z Płocka, Konrada nawet Lubuskiego, a ci co jak Krakowski i Wrocławski

sami się stawić nie mogli, piśmiennie oświadczyli zgodę swoją.

Z Pomorza mnodzy panowie, wysłańcy miast przedniejszych. urzędnicy, rycerstwo pomnażało świetną gromadę, która miała być świadkiem tych odrodzin królestwa...

— Zaprawdę — odpowiadał Świnka tym, co go niebezpieczeństwy od korony odstraszać cheieli — zaprawdę nie o króla tu idzie, bo każdy z nich śmiertelnym jest, ale o koronę, która być nieśmiertelną powinna.

Ta korona, która długo utajoną była w skarbcu kościoła, i razem z drogiem ciałem św. Wojciecha chroniona jako talizman święty — leżała teraz na wezglowiu na nowo z kurzu otarta, w swej starodawnej prostocie, grubemi obręczami złotemi przypominając wieki, gdy je niewprawna ręka jako umiała wykonała.

Obok niej jabłko królewskie napelnione wewnątrz tą ziemią, której piastowania była godłem, i włócznia św. Maurycego, relikwia razem i berło i Szczerbiec leżał anielski.

Jak około świętości przechodził lud ciekawy gromadząc się i stając około tych prastarych potęgi pamiątek. Minęło czasu wiele, a obręcze te złote nieczyjego nie dotknęły czola, pył je okrywał żalobny — w ciemnościach czekały na odrodziciela.

Radość wielka rozgrzewała tłumy, a piękny

acz gorący dzień wiosny ze słońcem wesołym pierwszej roku połowy, przyświecał wspaniałemu obrzędowi.

Duchowieństwo z Areybiskupem musiało się naradzać nad obrzędem, którego pamięć była zaginęła... Wertowano księgi, słuchano podań ludzi starych, chwytano co gdzieindziej przy koronacjach się działo; dobierano modlitwy, pisano formuły, szukano pieśni. Ale trud to był obojętny i wesoły.

W katedrze dwa trony na stopniach podniesionych obok siebie stały, okryte sukniem szkarłatnem ze złotymi bramowaniami. Naprzeciw wznosił się Areybiskupi.

Ołtarz już gorzał światłem rzęsim, duchowieństwo oczekiwało, gdy głosy trąb słyszeć się dały od zamku i drogą sukniem wysłaną, ruszył orszak książęcy, poprzedzany przez ochmistrzów dworu z laskami białymi i Wojewodów z chorągwiami zwiniętymi.

Za niemi w otoczeniu dostojników dworu swego stąpał Przemysław w sukniach szkarłatnych, w hełmie złocistym — mąż w sile wieku, z licem jasnym — czując, iż spełniał się nad nim obrzęd znaczenia wielkiego.

Owo niebłogosławieństwo, które odejmowało koronę następcom Szczodrego — zażegnane zostało — pokuta była spełniona, zamordowany męczennik podniesiony na ołtarz przebaczał rodowi zabójcy.

Obok księcia. w sukni ze złotogłowa i białych rąbkach jak mgła przejrzystych, piękna i wspa-  
niała, z obliczem pańskim szła królewna. mająca  
dziś się stać królową. Szczęście czyniło ją pię-  
kniejszą j szcze...

U progu stał już Świuka i Jan Biskup Po-  
znański, oba w szatach uroczystych, gotowi na  
przyjęcie księcia. Ci pokropionego wodą święconą  
wiedli przodem, gdy dwu drugich Ryksie towa-  
rzyszyło.

Na wezgłowiach przed nimi świeciły dwie  
korony złote...

Przy tronach stanęli urzędnicy ziemi, dworu,  
Wojewodowie, Kasztelan, Kancelerze, dwór wszys-  
tek, w szatach jasnych od złota, jedwabów i pur-  
pury, z tkanin tych przepysznych, których wzory  
przyniosły od wschodu wojny Krzyżowe.

Zabrzmiała pieśń do Ducha świętego, rozpo-  
częła się przy ołtarzu ofiara, którą sam Arcybi-  
skup odprawiał. Przejęty był i uniesiony, duchem  
ku niebiosom, od których ściągnąć chciał błogo-  
sławieństwo...

Wśród pieśni, wśród dymu kadzieli, odpra-  
wiała się błagalne modlitwy...

Po odczytaniu Ewangelij, zwrócił się Arcy-  
biskup do księcia, który do ołtarza przystępował  
dla złożenia przysięgi. Trzymano przed nim Ewan-  
gelię i krzyż.

Głosem drżącym począł przemawiać Arcybiskup, lecz wzruszenie wkrótce mowę mu przerwało.

Kłękł Pasterz, a książę leżł krzyżem na ziemi, śpiewy rozlegały się znown... Starym obyczajem kościelnym błagalne Litanje śpiewano.

Gdy powstał Przemysław niesiono oleje święte, nastąpił obrzęd namaszczenia. Poczem w bocznej kaplicy wdziano nań szaty królewskie, sandały złociste, humerał, manipularz, kape... Odzież ta królewska kapłańską razem była a przypominać miała, że pomazaniec Boży powinien być kapłanem strzegącym prawa i sprawiedliwości, wyrazicielem potęgi wszechmocnej na ziemi.

Poprzedziło to przypasanie miecza, bo użycie go było obowiązkiem mocarza ziemskiego nie kapłana.

Dobytym z pochew Przemysław na cztery strony świata przeszył powietrze i do złotej pochwy go schował.

Wtedy dopiero, gdy jako kapłan i rycerz boży namaszczony był i zbrojny, dostojny wieńca — pokłękł a Świnka ciężką tę, twardą, wielką koronę Chrobrego włożył mu na skronie.

Leżała na głowie Pomazańca endem, jakby dla niej była uknuta. Podano w lewą rękę jabłko ziemi polskiej pełne, w prawą berło, widomy znak władzy.

Złożono ofiarę, w złocistych baryłkach wino i chleb biały na ołtarzu.

Następowała Komunija święta, do której przystępując król miecz odpasał.

Wiedziono na tron ciągle modlitwy odmawiając i śpiewając.

Po obrzędzie tym w ten sam sposób ukoronowano królowę, a gdy obok małżonka zasiadła na tronie, zabrzmiał hymn wszystkiemi głosy męcy, potężny, wielki, dziękczynny.

Ostatnia nuta jego rozlegała się jeszcze, gdy Arcybiskup zawołał:

— Król niech żywie! niech żywie królowa

Za nim co żyło wołało wtornując, potrząsano rozwiniętymi chorągwiami, biło we dzwony i na trąbach grano.

Arcybiskup z Biskupami ujawszy króla i królowę wiedli ich na zamek, przerynając gęsto stojące tłumy, chcące choć spojrzeć na ukoronowanego pana swego.

Wśród tej ciżby szczęśliwej, wrzawliwej, na pozór rozradowanej — różne się jednak odzywały głosy.

Jedni widzieli blaski same i spodziewali się szczęścia i potęgi, drudzy już troskali widząc w tem jakby wyzwanie Boga, próbę niebezpieczną.

Po kątach i zakłkach szemrali i odgrządzali się niechętni.

Długo nie wiercono, ażeby Arcybiskup ważył się na krok tak wielkiego znaczenia, rzucenie rękawicy wszystkim, co siedzieli na ziemiach pol-

skich, wyzwanie ich do poddania się i posłuszeństwa. Niewiara ich zmieniła się w gniew i odgróźki, gdy wątpić już nie było można, że król ogłoszonym zostanie.

Nie było jednego księcia, któryby się tem obrażonym i zagrożonym nie uczuł.

W gromadach na ten dzień przybyłych kryli się szpiegowie tych, co się ulękli korony. Weiskali się oni wszędzie, patrzyli, podsłuchiwali i bledli.

Obrzęd powagą kościoła uświęcony — siły nabierał. Przy tronie stawała jedyna władza w świecie, której opierano się, ale ją szanować i nęgać jej musiano.

Otaczało go duch wieństwo, ono niosło koronę, dawało jabłko, miecz przypasywało. Od ołtarza mówiąc Arcybiskup, nauczał króla iż miał królestwo pomnażać, jednoczyć, oderwane od niego ziemie odzyskać

Wyrazy te rozechodziły się daleko, brzmiały głośno, odbiły się we wszystkich książęcych stolicach, poruszyły siedzących na nich. Mieli być hołdownikami i sługami jednego pana!

Lecz wszystkie potajemne odgróźki ciche dnia tego tonęły w chórze zwycięzkim. Każdy z ziemian Przemysławowych poczuwał się królem po troszę w osobie pana swojego...



Duma i siła w nich wstępowała.

Gdy na zamku uetzować poczęto, a tłumy się zabawiały u stołów rozstawionych, dzieląc na gromadki ziemiami i powiatami; niektóre rady znaczniejsze skupiły się też, i zbierały, aby razem zasiąść i jedność swą starą przypomnieć. Resztki Zarębów i Nałęczów, których się też dosyć znalazło, błędziły nie mogąc miejsca wyszukać dla siebie. —

Dawniejsi przyjaciele uchodzili od nich, powinowaci się odstrychali, ten i ów się zapierał — obawiano się knuć z nimi. Nie śmieli też przybyć główni sprawcy zdrady, z ramienia ich tylko kilku weisnęło się dla rozglądu i podsłuchu.

Stary Zebro Nałęcz i Zaręba zwany Niechluj, którzy nie byli poszlakowani nigdy o współnictwo z Michną i Pawlkim, ale w sereu za rody swe żał wielki mieli, najboleśniej doświadczyli tego, jak z rodem trzymając, cierpieć zań przychodziło.

Zebro tu i ówdzie próbował przysiądać się do gromady, witany zimnem milezeniem. Niechlują widzieć ni poznawać nie chciano.

Obu im ludziom możnym, niegdyś znaczącym serca się ścisnęły.

Błądząc tak pośród stołów, przy których dla nich miej-ca nie było, Zebro się zetknął z Niechlujem. Dość im było w oczy sobie spojrzeć, aby się porozumieć.

Stanęli mileżący długo bojąc się przemówić

do siebie i oglądając do koła. Unikali by i oni może od siebie, gdyby gdzieindziej którego z nich przyjęto.

— A co? — mruknął Zebro, — dla nas tu już ani ławy, ni chleba nie ma?

— Próżnośmy się tu wlekli, — odparł Niechluj w boki się biorąc. Chciałem okazać, że panu wierny, ale wierności mej nie radzi tu.

— Ani mojemu pokłonowi — rzekł Zebro. — Gdy się nowemu królowi chciało do kolan znieść, odwrócił oczy, dobrze że nie kopnął nogą.

Zeszli nieco na bok.

— U mojego woza — począł Zebro, — znajdzie się chleb, mięso i beczulka .. Co się mamy dobijać gdzie odpychają?

— Mnie się zda aby wozy zaprzęgać i do domu — odpowiedział Niechluj. — Lepszego się nie doczekamy, a i gorsze może być.

Stali jednak i przypatrywali się. Z wielkiej ludzi gromady tak wyłączoneym być — nikomu nie miło, starym nie nawykłym do tego, tem boleśniej. Obu serce krwią nabiegało.

— Nie winniśmy nic! do dzisiaj wiernym mu byłem sługą, — mówił Zebro, — ale z winowajcami jedno zawołanie mamy!

— Ja też — rzekł Niechluj — dziś mu się kłaniałem jeszcze, jutro gdy się żółć poruszy.. nie ręczę.

— Mam być karan — począł Zebro — niech

wiem za co. Zemście dogodzę, bratanka mojego święto.

— I mego stryjecznego — mruknął Niechluj.

— Chodźmyż ztąd! — dokończył Zebro.

Ruszyli ledwie z miejsca, gdy przechadzający się z łańcuchem i krzyżem na szyi ks. Teodoryk, jakby ich szukał, zbliżył się i pozdrowił. Przyjęli go chłodno.

— Czemu nie siadacie z drugimi? — spytał.

Odpowiedzi na to nie było, spojrzeli nań i oczy pospuszczali.

— Jeśli smienie czyste, co ród znaezy? — dodał ksiądz. — Dziś dzień wesóły dla wszystkich, chodźcie ze mną, miejsce znajdziemy.

Dosyć opornie, nieśmiejąc mu się sprzeciwiać, Zebro i Niechluj szli za nim powoli. Lecz gdziekolwiek miejsce dla nich napatrzył, gdy się obejrzano, ściskali się biesiadnicy i — ławy nie stało.

Szedł z nimi aż do dnehowieństwa ks. Teodoryk, aby tu między swemi ich posadzić. Tu już wyłączeni zbyt się czując na widoku, jakby ich palcami ukazywano, podziękowali orędownikowi swemu, weszli między czeladzie i pospieszyli do wozów i koni.

Zebro u wozu zaraz suknie z siebie świąteczne bogate, ściągać kazał, zbroję wdział, konia wziął, a gdy Nałęcz toż uczynił, porozumiewszy się z sobą, z niewielkim poczem w lasy ujechali.

— Kiedy drndzy nas nie chcą! do swoich jedźmy! — zawołał Zebro z gniewem wielkim.

Jechali tedy w lasy, drogami znanemi, a co w podróży skarg boleśnych i wyrzekań było — łatwo się domysleć. Gdy późno dostali się do miejsca, w którem Michno się ukrywał, oba już byli rozgorączkowani.

Zaręba, wiedząc jak go ścigano i pochwycić chcieli, na nroczyisku zwanem Barcie, oddawna się ukrywał. Zmieniał czasem kryjówkę tę, ale najczęściej w niej przebywał, bo mu się bezpieczną zdawała.

Trzeba było tak wytrwałego jak on człowieka i prostego obyczaju tamtych czasów, aby tu mógł wyżyć nie tylko wiosną i latem, ale często jesienią późną i zimą.

Wśród gęstwiny na pagórku, chatę Michna zbliżywszy się dopiero dostrzedz było można. Siedziała ona prawie całkiem zakopana w ziemi dach ją okryty darniem osłaniał. Ten porósł był trawą i krzakami bujnemi, tak, iż garbem tylko cokolwiek nad ziemią wystawał, a nad nim dymnik z płotka gliną obmazanego od kopcia zczerniał. Zamiast ogrodzenia, w koło leżały kłody wielkich drzew obalonych, jedne na drugich suchemi gałęzmi i korzeniami ogromnemi posplatanie z sobą. Wśród nich taru, głogi i młode krzewiny różne bujno się puszczały. Szopka dla koni z płotu podwójnego sklecona, a dla ciepła

gnojem między nie narzeczonym ohaconą, nędznie wyglądała z pośrodku drzew gałęzi.

Do tego zapadłego kąta Zarębowie i Nałęcze zjeżdżali się często w liczbie znacznej. Tu się odbywały ich narady, a że miejsca w chałupie mało było, rozsiadali się na blizkiej łące, która była spasiona i stratowana.

Miał tu Zaręba i studzienkę wykopaną a lichocembrowaną, i loszek i co do prostego życia było potrzeba. Wnijsie do jego lepianki niewygodne było, bo we drzwiach do pół zginać się musiał każdy a pod sobą szukać kłódki, która za próg służyła. Ciemno było tu zawsze.

Przybywający huknęli naprzód trzy razy, naśladując pubacza, aby ich za obcych nie wzięto. Natychmiast wylazł z chaty człek w krótkiej odzieży, w chodakach, z głową postrzyżoną i przeciw nim do wrót pospieszył

Był to sługa Zaręby, niemowa, ale bardzo roztropny i przebiegły, a do swego pana przywiązany. Nie z urodzenia postradał mowę i słuch miał dobry. Chłopiściem jeszcze gdy był, człek jakiś okrutny przez zemstę język mu uciął, tak że belkotał niezrozumiale.

Zaraz też odsunęła się okienniczka w niskiej ścianie, przez którą światelko błysnęło i głowa ludzka. Był to Michno sam, ciekaw kto mu takiego dnia mógł przybyć w gościncę.

Gdy się opowiedzieli, rad bardzo, naprzeciw pospieszył do progu.

Konie powiódł niemowa do stajni, a oni szli do chaty, w której świeciło, i gdzie Michno w łosiowym kaftanie i spodniach czekał na nich.

— Czyście się zabłąkali? — zawołał. — Dziś nikogom się nie spodziewał, co najprędzej jutro, wszyscy ciekawi pojechali onego nowego króla oglądać!

— My też ztamtąd wracamy — rzekł krótko Zebro.

To mówiąc przez otwarte drzwi do izby weszli jak loch niskiej, ale bardzo przestronnej.

Zaręba zmuszony często tu przebywać, przystroił ją jak uniał najlepiej, wojłokami powyścielał, skórąmi wyłożył, zbrojami obwiesił i jakby na najczystsiejszym dworze u ziemianina pięknie w niej było. Świeciła broń, tarcze, miecze i noże porozwieszane. Nie brakło nawet gęśli na jednej ścianie, bo na niej Zaręba czasem grywał.

U ściany jednej gorzało prawie nigdy nie wygasające ognisko, przy której dziewcze z kosami długimi teraz coś prażyło dla pana — ale obcych posłyszawszy natychmiast się skryło.

Zebro i Niechlnj, którzy tu nie bywali, choć o Barciach wiedzieli, rozpatrywali się ciekawie i dziwili. Postrzegłszy to Michno zawołał:

— Co się to wam osobliwem wydaje, że ów dworzanin stary, który u Króla już powinien był

się Podczaszostwa albo Podkomorstwa dosłużyć — pod ziemią się kryć musi jak borsuk w jamie? Taka dola wiernych sług, co prawdę panom mówią

Niechłuj głową ruszył dwuznacznie.

— Nie mówcie mi, że ja na to zasłużył — dodał z gorączką, która w nim nigdy nie wystygła, Michno. — Pokutuję za to, że się za biedną męczennicą ujmowałem, i z tego nie mógł ścierpieć...

— Ale.. ale! — odezwał się Zebro na przyzbie, która w koło ściany obiegała, przysiadłszy. — Mówią ludzie, żeście wy tę panią nadto miłowali.. a ona was!

Zaręba skoczył.

— Łgą, jak psy ci co to szczekają! — krzyknął. Szanowałem ją jako panią, litowałem się nad nieszczęśliwą.. Łgą, bo to była święta niewiasta!

Nie wznowiono o tem więcej rozmowy, uspokoił się Zaręba.

— He? — zapytał spoczawszy. — Z Gniezna powracacie? Cóż? dali mu koronę włożyć? Nie stało się nic?

— A coż się stać mogło? — spytał Niechłuj. Zaręba się śmiał.

— Mogło się co przytrafić — rzekł szydersko. No.. raz, drugi i trzeci się nie powiodło, a kiedyś iść się musi!

— Niech się cieszą, nie długo tego będzie! W tem Zebro spluwając wtrącił:

— Zbieracie wy się na niego, odgrazacie lat siła; mnie się widzi, że z tego nic nie będzie!

Gospodarz odwrócił się od ognia, do którego przykladał łuczywa.

— A ja wam się kłnę, że będzie! — zawołał uroczyście. — Nam samym dokonać nie łatwo było. Zdrajców się znalazło wielu, donosili mu, miał się na ostrożności... Po drogach przodem wysylali, lasy trzęśli, bez straży dobrej na krok nie ruszał. Teraz, niechaj się ubezpieczy.. znajdziemy go.

Niechluj zamruczał, że trzeba było w pomoc wziąć którego ze Ślązaków lub Pomorskich... Zaręba się uśmiechnął.

— Znajdziemy lepszych niż Pomorcy i Ślązaki — rzekł — posiedzieć do jutra, przekonacie się...

Na jutrzejszy dzień zwołało się tu siła ludzi — zobaczycie!

Zmilkł nagle, nie chcąc więcej powiedzieć, na niemowę krzyknął i zabrał się gości przyjmować.

W lichy lepiance znalazło się więcej, niż spodziewać się mogli.

Udziec sarni, miód dobry, chleb czarny ale świeży, kaszy podostatkiem, plastr miodu i ser na zakąskę. Niemowa z dziewczyną rażno im posługiwali.

Po wieczerzy wprędce, pokładli się wszyscy



na słomie i skórach, a ogień tlał i świecił im przez noc całą.

Z rana kłode doń przyrzucił niemowa i panów pobudził. — Dzień wstał jasny i piękny, wyszli z zaduchy podziemnej na powietrze.

Zaręba spodziewał się dnia tego gości i bacznie ucha nastawiał.

Jakoż przed południem zaczęli nadciągać ze stron różnych Zarębowie i Nałęczę, a nawet wielu powinowatych, co wczoraj w Gnieźnie byli.

Przybywali posępni, p. drażnieni, gniewni. Niepokoilo ich to, że obrzęd wczorajszy był uroczysty, wspaniały i tylu ziemian ze wszystkich ziem polskich zgromadził.

Słuchając opowiadań Michno się zżymał i kłął.

— Nikezemna gawie ż! — wołał, — byle ich kto karmil i poił sprzedadzą się niepatrzając, że im dyby na cały żywot włoży. Okrzykują króla, sicszą się, niepomnąc, że im niewolę przyniesie

Wynmieniali przybywający tych, którzy się wprzód Zarębom i Nałęczom obiecywali z niemi iść, a teraz o nich słyszeć nie chcą.

Obejdziemy się i bez nich — pocieszał się Michno.

Konni z lasów ścieżynkami różnemi napływali ciągle wieści osobliwe przynosząc. Większa część frasobliwych była i zatrwożonych, Michno tylko śmiał się i urągał strachom, a swą śmiałością innych zagrzewał.

Gdy około chalupy za ciasno już im było, wyciągnęli na łąkę.

— Tu mało co poczekawszy — rzekł — zobaczycie kogoś, co wam męztwa doda...

Było już z południa, wszyscy się pod drzewy pokładli i posiadali, gdy w lesie zatętniło i zadzwoniło...

Ci, którzy wprzód przyjechali, wszyscy się ostrożnie i po cichu wkradali, a choć zwyczaj był naówczas przy rzędach końskich małe dzwonki zawieszać, żaden się na to nie ważył. Posłyszawszy Zaręba jadących z trzęsidlami i brzękadły, zerwał się z ziemi, jakby pewien był, że ten przybywał, na kogo oczekiwał. Jakoż po chwili wysunął się z lasu na dużym, ciężkim koniu w rzędzie poły-skującym, mąż wielkiego wzrostu w hełmie czar-nym i zbroi lekkiej, w którym z twarzy rozlanej i obrzęklej Niemca poznali wszyscy.

Pańska postać i uzbrojenie każy się w nim jakiegoś książątka domysłać. Towarzyszyło mu kilkunastu czeladzi, ale ci zatrzymali się u brzegu lasu. Zaręba spieszył naprzeciw przybywającemu z poszanowaniem, lecz nie zbytnią uniżonością.

Nie zsiadając z konia, a niespokojnie trochę się rozglądając po ludziach, którzy nagle z ziemi powstawać zaczęli — stał jezdziec ów ręki nie odejmując od ogromnego miecza, który mu u siodła wisiał. Oczy jego z niedowierzaniem zdały

się liczyć gromadę, która za Zarębą zbliżyć się ku niemu zaczęła.

Pochyliwszy się z konia, jezdziec rozpoczął z Michnem rozmowę.

— Cóż poczynacie? — spytał po niemiecku ponurym, grobowym głosem.

— Koronowaniu nie można było przeszkodzić — rzekł Zaręba — ukoronowali go — ha! nie na długo!

— Nie powiodło się więc! — wtrącił Niemiec — Wam bo się nie wie. . . mówicie wiele, krzyczycie głośno, robicie mało!

Zaręba po cichu się żywo tłumaczył, tym czasem przybyły oczyma rachował ci co dokoła się gromadzili.

— Niewielu was też jest! — rzekł pogardliwie. — Co to za siła! to garść ledwie.

— Bo tu tylko są dowódcy — odparł Michno, — a nie wszystkie nasze zawołania. Liczcie po dzie sięć, dwadzieścia i więcej głów na jedną. . .

Ale co z tego, gdy się nieszczęści!

Siadaliśmy nań w zasadzkach razy wiele, zawsze nam uszedł.

Niemiec popatrzał urągająco.

— Dajcie no tylko wiedzieć mnie, gdzie go z małym pocztem przydybać można — rzekł, — a ja się bez was obejdę. . .

Szeptali znowu po cichu. — Zaręba tych, na

których najwięcej liczył pokazywał księciu i przyprowadzał. Umawiano się i spierano.

Niemcowi oczy coraz goręcej palaly; z niektórymi co się z nim lepiej rozmówić mogli — szwargotał dłużej i poufniej. W końcu wszyscy zdali zgodni. Książę głośno zaczął sypać przyrzeczeniami lask, i napędzał ażeby nie tracono czasu.

W tem zdala odezwał się krótkim, urwanym głosem róg w lesie.

Był to znak jakiś umówiony, jeździec drgnął, konia żywo zawrócił, głową do koła skinął na pożegnanie i w gąszcz popędził.

Ziemiańskie też żwawo pobiegli do swych koni, i wkrótce oprócz Żebra i Niechłuja nikt na łące nie został, tak spiesźnie każdy w swą stronę się wynosił.

— Teraz — zaśmiał się Miehno powracając do swej lepianki — gdy dwu Ottonów mamy z sobą, nie ujdzie nam królik!

Niech się po godach wysapia, a sprawiemy im lepsze od tych.

---

## XI.

Ze spuszczoną głową nad stołem stojąc ks. Teodoryk przypatrywał się jak na gorącym wosku Pisarz Tylon ogromną pieczęć wyciskał.

Świeżo ona była wyrzezaną z porady Świnki Arcybiskupa, na większą zgryzotę innym polskim książętom, a stały na niej dokoła słowa:

REDDIDIT IPSE SOLUS VICTRICIA SIGNA POLONIS.

(On sam przywrócił polakom zwyciężkie znamiona).

On i Tylon gładząc bródkę swą, krótko postrzyżoną, przyglądali się z uczuciami różnemi tej pieczęci majestatycznej, którą po raz pierwszy zawiesić miano u pergaminu na jedwabnym sznurze.

— A co! — odezwał się Tylon do zadumanego Teodoryka — a co? nie jest-że wspaniała?

nie majestatyczna? nie pańska? nie królewska? Mają Ślężcy Czarnego Orła, my białego.. Już na naszej pieczęci nie lada jeździec na szkapie, co przystał księżętom.. ale orzeł jakby Cesarski!! I napis piękny, nie chwając się jam go układał: *Sigillum Praemislai Polonorum Regis et Ducis Pomeraniae.*

*Polonorum!* położyłem nie bez myśli — zjedzą się ze złości!

Uśmiechnął się Tylon i dodał:

— Takiej pieczęci u nas nie bywało, ni u żadnego z panów naszych!

— A wy się tem cieszyacie? — spytał Teodoryk.

— Jakże nie!!

— Ja zaś.. nie cieszę się — rzekł Lektor potrząsając głową. — Wiecie dla czego? Bo ja wolę moc i władzę, niż trąbę i chwałbę.. wolę czyn niż słowo...

Ale wyście, panie pisarzu, mężem słowa i w moc jego wierzycie...

— Pewnie! — zawołał Tylon. — Bóg nas nauczył, że słowo się staje ciałem, i że co ma być czynem, wprzód myśla być musi!

Zamilkł i wracając do pierwszego wesołego nastroju — począł znowu.

— Niech się książątka wściekają! niech się złością! niech gryzą nieprzyjaciele! Który z nich na tę pieczęć spojrzy, ciarki pójdą po nim!

*Polonorum* na niej stoi... *Sapienti sat!* Arcybiskup mnie za to w głowę pocałował!

Ręką zamachnął do koła.

— Zagarniemy wszystko!

Teodoryk smutnie się jakoś uśmiechał.

— Daj to boże — odezwał się — ale mnieby się widziało nie trąbić z wieży dopóki się nie pokona, nie ostrzegać że się bić będzie aby się miano na pieczy, nie drażnić złego zwierza.

— Niech drżą! — krzyknął Tyłon. — *Victricia* Signa nasze! a jakto ślicznie brzmi.

Reddidit ipse sołu.s..

— Mój ojcze, — odparł Teodoryk. — Nie koniecznie oni na placu boju walkę nam wypowiedzą, albo żeście nie słyszeli o truciźnie co we Wrocławiu sprzątnęła tych, którzy zawadzali! albo nie wiecie co Białego spotkało!

Tyłon oburzył się.

— Mamą dobrą pieczę nad panem! Oho! oho! nie bójcie się. Ludzie go jak oka we łbie strzegą!

Lektor zaciął usta usta i pomilczał.

— Tak — miejcież pieczę! i urwawszy dodał. Co to ja słyszę. — Król pono na zapusty do Rogoźna się wybiera?

— Na zapusty! tak jest, — rzekł Tyłon. — Słusznie mu należy aby się rozerwał i odetchnął, i on i dwór!

— A w Poznaniu nie może? wtrącił Teodoryk.

Tylon usta ściągnął pocieszenie w ryjek, chudą ręką przebierał po powietrzu, palcami poruszał niby im coś mówić nakazując czego Teodoryk zrozumieć nie mógł.

Chrząknął potem a widząc, że ksiądz jaśniejszego oczekuje tłumaczenia, szybko mruczeć zaczął.

— Czyż wam, bracie Teodoryku — wam co słyszeliście jak trawa rośnie i co z sobą ptacy na gałęziach rozmawiają, wam co widzicie w ciemnościach, słyszycie w milczeniu. — Wam, ja! potrzebuję wyklądać i rozjaśniać dla czego królowi lepiej będą smakować w Rogoźnie??

Ks. Teodoryk milczeniem i wejrzeniem dał do zrozumienia, że bądź co bądź potrzebował tego tłumaczenia. Stary notariusz oczki zmrużył.

— Ojcie kochany — rzekł cicho — niema większego wielbiciela królowa pani nasza nade mnie. Niewiasta jest cnót wielkich i majesta'u potężnego — ale — nie wesół! Koło niej też smutno — cicho. Za nią wszędzie chodzi ten majestat jej, powaga — *decorum*! Rozśmiać się przy niej nie godzi bo się namarszczy, zaśpiewać wara, bo to jej godności nbliża... Widzieliście wy ją kiedy inaczej jak królową? Idzie do łóżną, i wstaje w koronie... Niewiasty w niej mało. — Spojrzawszy na nią strach święty ogarnia! Otóż, widzicie, bracie Teodoryku, w końcu panu



niestaremu, boć młodym się jeszcze zwać może —  
zapragnię się trochę swobody i człowieczeństwa!!

Spuścił głowę i ręce rozstawił szeroko.

— *Humanum est!*

— Smutna to rzecz — westchnął ks. Teodoryk. — Królowie nie mają czasu dla siebie żyć a wesela szukać, — królowanie kapłaństwem jest! Kto namaszczeni był, ze człowieczeństwa się wyzuć powinien.

— Mieścież wy litość nad nim! — szepnął Tylon.

— Ja, ja mój ojcie — odparł Lektor — nie tylko litość dlań ale miłość mam. Na wiele rzeczy oczy przymrużam, lecz smutno mi i biedno gdy myślę, że on musi szukać roztargnienia w Rogoźnic! Ściągnie się tam do niego pewnie na zapust dużo ziemian wesółych, palki sobie pozalewają, poczną się swawole... Panu nie tylko w nich być, ale patrzeć na nie nie przystało.

— Za snrowi bo jesteście — mrknął Tylon. — Niechby to mówił Arcybiskup albo ks. Wincenty, ale wy co świat znacie?

— Mój ojcie — żywo wtrącił Teodoryk — mnie na ostatek nie o zabawę idzie, ale się — boję!

Notariusz rozśmiał się tak serdecznie, szeroko, iż Lektor zawstydzony się zmięszal.

— Boicie się o niego? Gdzie? tu? pod nosem? na naszej ziemi? w Rogoźnic? Tam, gdzie go najlepsi otoczą przyjaciele?

— I gdzie najgorsi bo skryci wrogowie wciśnąć się mogą!

— No! no! — przerwał Tylon znowu z miłością wielką przypatrujący się swej pieczęci. — Słyszemy od lat wielu o tych Zarębach i Naleczach, ale to gwar pusty! Porozłaziło się to po świecie, niema ich i znaku! Ci co w domu zostali, do łask się wprasza. Strachów sobie z tego próżnych czynić nie trzeba!

— Niech i tak będzie — rzekł Teodoryk — zawsze wolalbym zapusty w Poznaniu niż w Rogoźnie.

— Na Wielki post powróci z nami śpiewać żale do Poznania.

Tylon zamknawszy tem niemilą mu rozmowę, dodał, pieczęć podnosząc.

— Patrzcież no, ojcze mój, jak rozumnym był ś. p. Bolesław Kaliski, dobrodziej nasz, gdy Judeom przywilej nadał, aby mieli u nas opiekę i bezpieczeństwo! A ktoby nam tu teraz taką pieczęć wyrzezał gbyby nie było Samuela, syna Judy... Kto nam pieniądze bije? Też Judens! Kto klejnoty oprawia? kto grzywien pożycza? kto drogie bisiory przywozi? Ludzie rozumni są i do wszystkiego!!

Na te pochwały skrzywił się Lektor.

— Jednak — rzekł — ks. Pasterz nasz Gnieźnieński rozumnie także uczynił gdy na Synodzie,

jak po innych krajach się wodzi nakazał spieczaste głowy nakrycia i kółka czerwone nosić na piersiach.

Stary Tylon spuścił głowę, nie śmiejąc prze-  
czytać, że ustawa Synodu dobrą być musiała.

Działo się to w pierwszych dniach Lutego. Jak Teodoryk mówił, w istocie król wybierał się na łowy w lasy pod Rogoźno, kilka dni zanie-  
rzając w miasteczku tem spędzić na spoczynku i zabawie.

Im ostrzejsze były posty ówczesne, tem Mięso-  
pust szumniej obchodzono, jadłem i napojem,  
nieraz pieśniami i skokami, które nagle Popielec  
przerywał smutnem pieniem pobożnem o Męcę  
Zbawiciela.

Na zamku w Poznaniu, jak mówił Tylon, kró-  
lowa nie bardzo dawała szaleć nawet w Zapusty. Pani była surowa i o godność swą frasośliwa  
wielce, szumnej, rozpasanej wesołości nie lubiła  
nigdy. Dość było by na króla spojrzeć, wnet Prze-  
mysław gdyby najbardziej rozochocony, poważniał  
i chmurzył się. Nie też dla dworu królewskiego  
dziwnego w tem nie było, iż chciał z zamku  
zjechać nieco, i w gronie wesółch towarzyszków  
odpocząć, pośniąć się, dobrej użyć myśli.

Królowa choć niezbyt lubiła te mężowskie  
wycieczki, wzbraniać ich panu swemu nie śmiała.  
Obiecował się z rychłym powrotem. Zostawała  
naówczas na zamku sama z surowo utrzymanym  
dworem i córeczką podrastającą. Szyla w kro-

snach, kazala sobie czytać kapelanowi, lub patrzala na dziecięce zabawy młodej Ryksy.

Właśnie orszak królewski z zamku miał wyciągać, a królowa przypatrywała mu się nie widziana. Na twarzach towarzyszyć mających panu łowców, dworzan, czeladzi widać było radość, jakby się z niewoli wyrwali. Tłumili ją tylko obawiając się by jej surowa Pani nie postrzegła. Bystre jej oko dobrze rozeznawalo wszystko i czytalo w twarzach ludzi.

Smutną się stala, gdy ujrzała w końcu wychodzącego króla, który na koni miał siadać, równie rozweselony i śmiejący się jak ci co go otaczali.

Domyśliła się, przeczuła co się w duszach tych ludzi i małżonka jej działo. Było im tu zaciąsno — ani wykrzyknąć, ni huknąć, ni poszaleć, ni napić się zbytnio nie było wolno. Tam mogli sobie cugle puścić swobodnie

Król uśmiechał się, rozprawiał żywo, o dostojenstwie swem zapominal — widziany tak zdala całkiem innym był człowiekiem niż ten, którego ona zbliżka znała. Wydał się jej niemal politowania godnym.

Miała mu za złe, że na chwilę zapomniat się i byl — człowiekiem tylko. Na myśl jej przyszły: Mina, Lukierda i stare młodości dzieje — wszystko, co jej o nim opowiadano...

Westchnęła i zapuściła na okno zisłone.

Z wesołemi choć tłumionemi uśmiechy wyciągali myśliwi, odzywały się trąbki, psy poszczekiwały radośnie, konie rażno były kopytami o zamarzlą ziemię i prychały.

Z psiarni tylko, w której reszta sobak była zamknięta, w tejże chwili odezwał się głos złowrogi. Pies jeden zawył żałośnie, za nim reszta uwieczonych poczęła przeraźliwie zawodzić i właśnie gdy król bramy pomijał, wycie ich rozległo się w podwórcach... A choć czeladź, psiarze i psiarki pobiegli chlostać, ogary wyły długo, a ich żalosne jęki echem boleści i trwogi odbiły się w sercu królowej.

Cicho i pusto było dni następnych na grodzie.

Tydzień przeszło minął tak w jakimś milczeniu złowrogiem. a król nie powracał jeszcze.

Ci, co od niego do Poznania przybywali opowiadali, iż się zatrzymał w Rogoźnie na gródku, chwając się, że im tam wesoło było, że co wieczora w bród miodów dawano, ziemianie z niewiastami swemi przybywali i płaśniano a śpiewano i radowano się. Król też miał być wesół jak rzadko, żartował, rozmawiał i laskami obsypywał.

Kto mógł zniknął z Poznania i uchodził na Mięsopust do Rogoźna, aby się tam zabawić z drugimi. Pod różnemi pozorami wymykali się tam ludzie.

— Jeszcześmy jak nastąpiła nowa pani, nigdy takich zapust nie mieli! — chwalili się dworzanie,

Królowa niespokojna trochę stała na zwiady, nicmiłe słysząc o tych zabawach w Rogoźnie.

Na drugi dzień po św. Dorocie, z rana tak jeszcze na zamku cicho było, jak dni poprzednich.

Tylon w swej izdebce na wosku wyciskał coraz nowe pieczęcie. Ks. Teodoryk, który pozostał w Poznaniu, chodził na służbę do królowej, tęskniąc za panem, niepokojąc się o niego. Kanclerz Wincenty, mając wiele na swej głowie dopominał się powrotu króla.

Dzień tak upłynął cały, cicho, głucho, bez wieści o nim.

Wrota już zawierać miano, gdy do nich dopadł człek konno, na zziąjanej szapie, i rzuciwszy ją pierwszemu, którego spotkał, pędem pobiegł do Biskupa.

Tego nie znalazłszy w domu, bo do Trzemeszna zjechał, wpadł jak oszalały do Kanclerza.

Ks. Wincenty właśnie wieczorne odmawiał pacierze, w kominie się trochę przygasłego ognia żarzyło i wchodzącego wziął z chłopca swego. Stękanie jakieś usłyszawszy dopiero — zbliżył się do stojącego przy progu.

Człowiek błady, przerażony, niemy, któremu wargi dygotały, z włosiem rozczochranyim stał przed nim — żywy obraz przerażenia i bólesci.

Kanclerz ujrzawszy go, wykrzyknął:

— Czlecze! co ci jest!

Nie mogąc mówić, ryknął zapytany płaczem wielkim, oczy sobie zakrył i padł na kolana.

Strach ogarnął Kancelerza.

— Człecze! na Boga! Co ci jest? — powtórzył.

Ale jeszcze usta jego prócz jękn nie wydać nie mogły.

W tem drzwi się rozwarły szeroko i ks. Teodoryk, który konia porzuconego u wrót poznał, iż należał do jednego z tych, co z panem byli w Rogoźnie — wbiegł a klęczącego i zachodzącego się od placzu postrzegłszy — wykrzyknął:

— Boże wielki! Mów co się stało! Tyś z Rogoźna!

Z ust nareście wyrwało się posłańcowi.

— Król zabit!

Jednym jękiem oba duchowni odpowiedzieli.

Długo potrzeba było rzeźwić i uspokajać człowieka, nim mógł zacząć opowiadać.

— O! nieszczęśliwa godzina! nieszczęśliwa godzina! Brandeburczyków dwn, Zarebowie i Nałęczu, gdy pan i wszyscy po długich godach spali snem twardym, nad rankiem na bezbronnych nas napadli.

Zrobiła się wrzawa okrutna. . . jam posłyszawszy ją, zerwał się i biegł ku panu, na pół nagi, kord tylko pochwyciwszy. Ale za zgrają Sasów i tych łotrow już docisnąć się nie było można.

Króla wywlekli, ciągnęli, najgrawając się i bijąc. On z temi, co przy nim byli, jak lew się

bronik. Padło lotrów dosyć trupem. Patrzałem jak Nałęcza Pawłka ciał w głowę — aż runął i wyzionął ducha.

Gdy mi mieczem torując sobie drogę przeciskał się do niego, zobaczyłem jak krwią opłynawszy cały, zachwiał się i upadł na ziemię.

Sasy go zaraz wrzeszcząc pochwycili. Nie wiem już co się ze mną działo, ani jakom ja choć poraniony, mógł z duszą ujść od nich.

Wyciągnęli go już omdlałego wołając i ciesząc się w podwórko — w koszuli całej zbroczonej i pociętej. Nuż go na koń sadzać a wiązać, ale się biedny pan na nim już utrzymać nie mógł i padł z niego.

Co go wciągną, to jak trup się śliznie i — leci. — Życie w nim było jeszcze przecie, jęki słyszałem.

Poniesli go na wóz ladajaki, chcąc na nim uwięzić Brandeburczyki, ale i z wozu się obalil. Dopiero nakławszy jeszcze porzucili.

Jam się przedzierał chcąc tam paść gdzie i on, gdy patrzę, Michno Zaręba stoi nad nim, nogę mu na piersi postawił i chyli się doń.

— Jeszczebyś żył! zaręczał mu nad uchem.

— Weźcie mnic! ratujcie! — odezwał się król głosu dobywając słabego... Nie wiedział snadź do kogo mówił. — Weźcie a na łożo zanieście.. życie powróci!

Posłyszawszy to Michno, nagle podniósł miecz



w górę i oburącz go wraził w piersi, przybijając do ziemi, a nad uchem mu krzycząc:

— Lukierda!!

Kancelarz i ks. Teodoryk ręce zalamali.

Stało się milczenie straszne, posłaniec na ziemi leżał i wiał się a płakał.

Tak skończył król ów siedniomiesięczny, po którym płakali wszyscy. Lud widział w tym zgonie jego pomstę Bożą, za zgon niewinnej Lukierdy. \*)

---

\*) Opowiada Długosz za innemi, że rody Zarebów i Nałęczów, za udział w tem zabójstwie, długo pozbawione były prawa noszenia sukni szkarłatnych, i stawania przy popisach rycerstwa w osobnych szykach. Zdaje się to jednak być później stworzoną legendą, lub stosuje do jakiejś gałęzi rodzin tych, gdyż wprędce potem Nałęczów widzimy na wysokich dostojenstwach, nawet w Wielkiej Polsce.

KONIEC.









Biblioteka Raczyńskich

JIK **546**



JIK0546